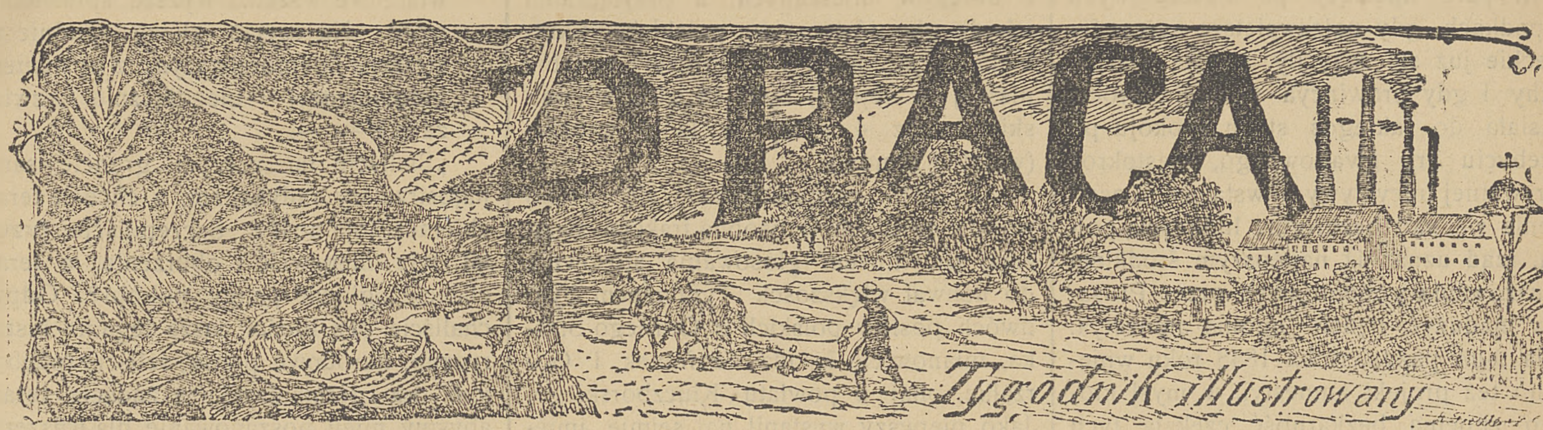
Nr. 34. Poznań, Niedziela dnia 25-go Sierpnia 1901 r. Rok V.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie ***1,25 m.;*** *na poczcie w Austro-Węgrzech* ***1 kor. 73 hal.***
Pod opaską: *w Niemczech* ***1,90 mr.,*** *w Austro-Węgrzech* ***2 kor. 30 hal.*** *za Oceanem* ***1 dolar 25 cent.***
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

U kolebki Koła Polskiego.

Marzec i kwiecień roku 1848 przyniosły społeczeństwu polskiemu w Poznańskiem tyle nieziszczonych nadziei, tyle klęsk nieprzewidzianych, tyle bolesnych rozczarowań, że pomimo krótkiego okresu walki, wyszło zeń zupełnie pognębione i, powiedzmy otwarcie, *zdemoralizowane politycznie.* We wszystkich sercach nurtowała nie boleść porażki, poniesionej w otwartem polu, lecz poczucie doznanego zawodu ze strony nieprzyjaciela, któremu się zaufało. A to poczucie miało w sobie smak wstydu i dawało obszerne pole do wzajemnych rekryminacyi i oskarżeń. Zresztą przeskok był zbyt nagły. W połowie marca upojone szałem najdalej sięgających nadziei, społeczeństwo polskie obudziło się w końcu kwietnia *z kijem żebraczym* w ręku.

Kwiat młodzieży padł pod kulami nieprzyjaciela; w lud prosty, co na hasło walki przeciw Prusakom powstał *jednomyślnie,* rzucono zarzewie nieufności do „panów,“ którzy „sprzedali sprawę Prusakowi“; w całym kraju szalały szajki zaprowadzających na swój sposób spokój Prusaków; „upadła na chwilę moralna odwaga, zachwiał się hart narodowej duszy,“ jak mówi ks. Koźmian, opisując te chwile.

Wśród tych posępnych dni nadszedł czas wyborów dnia 8 maja 1848 roku. I dziwić się doprawdy trzeba, jak się to stało, że pomimo takiego upadku ducha, pomimo łamiącej nawet wszelkie pozory legalności wyborów przemocy pruskiej, na trzydziestu deputowanych Polacy przeprowadzili aż 16 kandydatów. Oto nazwiska tych pierwszych posłów polskich, którzy zasiedli w sejmie pruskim jako reprezentanci sprawy polskiej: 1) ks. Bażyński, 2) Brodowski, 3) August Cieszkowski, 4) Antoni Kraszewski, 5) Ruszkiewicz, 6) Lipski. 7) Lisiecki, 8) Piegsa, 9) Gustaw Potworowski, 10) ks. Stefanowicz, 11) ks. Strybel, 12) Szuman, 13) Alfons Taczanowski, 14) ks. Taszarski, 15) Trąmbczyński, 16) Marceli Żółtowski.

Bezwątpienia daleko większa liczba posłów polskich przeszłaby w wyborach, gdyby nie przechodzące wszelką miarę nadużycia wyborcze Niemców.

W niektórych okręgach na miejsce wyborów nie pozwolono zjechać Polakom niby ze względów strategicznych; tak został wybrany Bussmann w Gnieźnie. W innych znów miejscach uchylono bezprawnie głosy wyborców polskich, którzy nie umieli czytać i pisać; tak uzyskał mandat landrat Bauer z Krotoszyna.

W izbie panowała taka zawziętość przeciw Polakom, że wyborów tych wcale nie unieważniono, a gdy deputowany dr. Antoni Kraszewski użalał się, że „polska narodowość najbardziej teraz w państwie pruskiem uciśniona, nie ma nawet prawa przed Izbą, sędzią bezstronnym, wolności wyborów swoich bronić,“ zgromadzenie krzykami i tupaniem przerwało mu mowę i zmusiło do zejścia z trybuny.

Deputowani polscy nie tworzyli wówczas jeszcze osobnego klubu polskiego. Łudzili się nadzieją, że niemieckich swych kolegów przekonać zdołają i dla tem skuteczniejszego oddziaływania na nich powstępywali do rozmaitych klubów parlamentarnych niemieckich, przeważnie z lewicy (wolnomyślno-demokratycznej barwy).

Jeden tylko Gustaw Potworowski wstąpił do lewego centrum, zastrzegłszy sobie jednak, że w głosowaniu swem rządzić się będzie zawsze interesami Księstwa. Marceli Żółtowski zaś nie wstąpił do żadnego stronnictwa, uznając, że dla Polaków, którzy mają reprezentować sprawę polską i nic pozatem, nie może być miejsca wśród niemieckich deputowanych, mających swe własne sprawy narodowe na widoku.

Niejednolite pojmowanie tych zadań poselskich ujawniło się też niejednokrotnie niemile, gdy mianowicie w głosowaniu nad wewnętrznemi sprawami niemieckiemi jedna część Polaków uchylała się konsekwentnie od głosowania, twierdząc, że nie wolno im jako cudzoziemcom mięszać się czynnie do wewnętrznych spraw narodowości obcej, gdyż znaczy to przyznawać się pośrednio do jedności narodowej — druga zaś część Polaków głosowała. Doszło nawet do tego, że kilku deputowanych polskich podpisało odezwę z dnia 27-go listopada 1848 r., która się kończy wyrazami: „Es lebe das Vaterland!“

„Podpisałbym — mówił Gustaw Potworowski — gdyby tam stało *Land,* a nie *Vaterland;* Ojczyzną moją jest — Polska!“

W tej różnicy zapatrywań wśród grona posłów polskich maluje się cała nie-

jednolitość zapatrywań i usposobienia ogółu polskiego.

W parę miesięcy po kwietniowych wypadkach, gdy najzawziętsze serca niemieckie już się nasyciły zemstą za rozruchy i gdy prowincya wreszcie wrócić musiała do jakiegoś stanu spokoju po przebyciu ery gwałtownego, częstokroć z prywatnej inicyatywy powstającego pastwienia się nad bezbronną ludnością polską, rząd uznał, iż najlepszym środkiem zatuszowania popełnionych przez Prusaków nadużyć będzie ogólna amnestya. Dnia 9-go października 1848 roku wniesiono też projekt amnestyi, w myśl którego zupełna bezkarność czekała tych wszystkich, którzy popełnili jakiekolwiek nadużycia przy tłumieniu ruchu polskiego, natomiast wyjęci z pod ogólnej tej amnestyi zostali oficerowie, duchowni i nauczyciele, którzy brali udział w polskiem powstaniu.

Sprawa osobnej organizacyi politycznej Księstwa Poznańskiego długi czas jeszcze była formalnie w zawieszeniu i stosunek Księstwa do Prus również był nieustalony państwowoprawnie. Sejm niejednokrotnie zajmował się tą sprawą w ciągu roku 1848. Taktykę posłów polskich w tych sprawach cechuje opieranie się na traktacie wiedeńskim z roku 1815. Jeden tylko Marceli Żółtowski z posłów ówczesnych radził nie opierać się na traktacie, lecz za punkt wyjścia obrać prawa narodowości polskiej wobec Prus — jako takiej. Praktycznych wyników rozstrzygnięcie kwestyi spornej i tak by nie pociągnęło, niemniej jednak opieranie się li tylko na traktacie wiedeńskim skrępowało niezmiernie działalność parlamentarną posłów polskich, gdy chodziło o sprawy Prus Zachodnich i Ziemi Chełmińskiej, tj. obszarów, które zagarnięte zostały przez Prusy nie z mocy traktatu wiedeńskiego 1815 r.

W chwili jednak, gdy sejm, jak się zdawało, coraz skłonniejszym się stawał do sprawiedliwego osądzenia sprawy polskiej, nadeszło rozwiązanie Izby, które całej jej działalności kres położyło.

Król pruski nadał konstytucyę i rozpisać nakazał nowe wybory. Ponieważ konstytucya zdawała się zapewniać pewne stałe formy politycznego bytu, przeto zawiązał się w Poznaniu polski komitet wyborczy, który wydał w dniu 10 grudnia 1848 roku pierwszą swą odezwę, podpisaną przez ks. Janiszewskiego i dra Libelta.

Linia demarkacyjna, dzieląca Księstwo na dwie części, z których jedna była włączona do Prus, druga zaś miała przyrzeczoną „narodową organizacyę" — przetrwała i te wybory jako fikcya prawna, którą się rząd posługiwał, gdy mu była w praktyce potrzebna: mianowicie przy nakreślaniu wyborczych okręgów rząd linii demarkacyjnej użył jako wygodnego sposobu do wyłączenia wsi polskich z okręgów mieszanych, a przyłączania ich do okręgów czysto polskich. Skutkiem tej „geometryi wyborczej" w Izbie niższej (w sejmie) było 18 głosów polskich, oraz 4 głosy w Izbie wyższej (w Izbie panów).

W 1849 zorganizowało się grono posłów polskich w osobną frakcyę, związaną przymusem głosowania stosownie do uchwał większości. Tym razem było dwóch posłów polskich z Górnego Śląska, mianowicie ksiądz Szafranek i Gorzałka, obaj z powiatu Kluczborskiego. Jako pierwszy wystąpił na sejmie imieniem nowoutworzonego Koła polskiego ksiądz Szafranek.

(Stwierdzić to dziś wypada wobec tego, że podnoszą się wątpliwości, czyby posłowie polscy, ewentualnie na Śląsku wybrani, mogli wstąpić do Koła Polskiego. Red.)

Na tej sesyi sejmowej toczyły się znów obrady nad sprawą stosunku Poznańskiego do Prus. Ze strony polskiej wygłoszono pamiętne dwie mowy, które zasługują na trwałe przechowanie w pamięci ogółu — przynajmniej w ważniejszych wyjątkach.

Pierwszy mówił X. Janiszewski, a z jego mowy następujące zdania przytoczyć warto:

„Nie będę Was nużył przytoczeniami i objaśnieniami traktatów... Chociażby wszystko w wątpliwość podać się dało, to jednak główną zasadę, *zapewnienie* naszego narodowego istnienia tak jasno i niewątpliwie w traktatach tych określono, żebym wasze uczucie sprawiedliwości obrażał, gdybym myślał to wykazywać... — —

„Niechętnie powołuję się na te traktaty, bośmy ich nie przyjęli nigdy, ale nam narzucone zostały; bo nam zaledwie cień słuszności przyznają, nie dając nic więcej, prócz prawa nędznej egzystencyi. Niechętnie się powołuję na nie, bo głos wyższego prawa wyrywa się z mej piersi i woła, że jestem człowiekiem, a jako człowiek mogę żądać, by uszanowano mój narodowy charakter: trzeba mi jednak wezwać świadectwa umów publicznych wobec rządu, stojącego na czele państwa, które nie było zmuszone do podpisania owych traktatów, ale je dobrowolnie uznało, przyjmując zobowiązanie wraz z prawami. —

„Pytam was, panowie, co może przynieść zasiew ów trzydziestoczteroletni (1815—1848)? Czyż naród strącony do szeregu niewolników, może zachować szacunek i ufność do pruskiej władzy, uszanowanie dla prawa, wiarę w uczciwość rządu, lub jakikolwiek prawny porządek? Systematycznie i ciągle rząd policzkuje poczucie sprawiedliwości; systematycznie poczucie prawa wytępia. Niszczy wiarę we wszelką wyższą sprawiedliwość. Na czyjąż głowę spadnie ta straszna demoralizacya, z systemem germanizacyi nieodłącznie związana? — —

„Sialiście na naszym gruncie sami najostrzejszy radykalizm, a chcecie teraz zbierać lojalność? Szczepiliście przez lat tyle nienawiść i oburzenie, a teraz chcecie oglądać palmy pokojn? Odpychaliście bez litości nasze legalne historyczne, narodowe prawa, szliście przebojem ku germanizacyi, a żądacie teraz, abyśmy mieli poszanowanie dla waszego rządu, jako dla władzy legalnej? — —

„Możnaż się po takim zasiewie innych spodziewać owoców? Czy jesteście tak naiwni, aby sądzić, że my mamy jakąś korzyść w utrzymaniu waszych porządków? Czy nam rząd zostawił cokolwiek, coby prawdziwą wyższą i moralną wartość miało? Cóż nam zależy na tym waszym państwowym ustroju, abyśmy go wraz z wami bronić mieli? Pozbawiono nas wszystkiego, co człowieka wyższą moralną potęgą z porządkiem państwowym łączy. Wasze państwo grób dla nas gotuje. Nasze sympatye ku niemu byłyby samobójstwem. — — Staliśmy się wskutek systematu rządowego czemś, co przypomina słowa poety, który powiedział: „Jestem duchem, co ciągle przeczy", — i to właśnie jest gorzki owoc waszego posiewu". — —

Tak mówił ksiądz Janiszewski podług urzędowego stenogramu. Te same stenograficzne sprawozdania z rozpraw sejmowych podają nam jeszcze ciekawszą mowę, którą wygłosił pan Erazm Stablewski:

„Myśmy nie po to tylko weszli do tej Izby, aby brać udział w prawodawczych pracach waszych, aleśmy tu przyszli — i uważamy to za nasze najświętsze zadanie — jako obrońcy niezmazanych praw narodowych, aby przeciw każdej nowej krzywdzie, przeciw uprawnieniu krzywd dawnych protestować uroczyście i zapozwać rząd przed najwyższy trybunał historyi!

„Wiedeńskie traktaty wyrządziły nam największą niesprawiedliwość, ich kompetencya była prawem silniejszego: taką samą a nie inną i wy obecnie macie wobec nas Polaków.

„A wiecie, dlaczego jesteśmy zmuszeni powoływać się na traktaty owe? Bo w nich więcej jest ludzkości, sprawiedliwości, uszanowania dla potrzeb i praw narodowości, niż w paragrafach, które rząd pruski przeciw nam wydaje.

„Nie zapominamy naszej wielkości historycznej, nie wyrzekamy się naszej Ojczyzny, nie wypieramy się nadziei

lepszej przyszłości, która nas zawieść nie powinna i nie zawiedzie.

„Pójdziemy drogą spokojnego rozwoju i czekać będziemy cierpliwie. Sprawa polska rozwiązana być musi: kiedy i jak — tego dzisiaj nikt rozstrzygnąć nie zdoła. Pytanie tylko, czy się to stanie na drodze pokoju, czy wojny.

„Jeśli uszanujecie nasze prawa narodowe, jeśli nam oddacie sprawiedliwość, to będziemy mogli, nie wyrzekając się żadnej naszej nadziei, czekać spokojnie rozwiązania naszej sprawy. Jeśli zaś przeciwnie, odmówicie Polakom wszelkiego prawa, jeśli potępicie ich uczucia narodowe, jeśli wydrzecie nadzieję rozwiązania naszej sprawy z Prusami na drodze pokoju, wtedy, mości panowie, my przypomnimy sobie, że nietylko Polakami, ale Słowianami jesteśmy. Jako Słowianie mamy jeszcze jakąś przyszłość przed sobą, jako poddani pruscy — żadnej.

„Zespolimy się wtedy my, Polacy, ze Słowiańszczyzną. Cóż byśmy bowiem jeszcze mieli do stracenia? Nic zgoła. Siła wypadków zmusi nas do rzucenia się w ręce despotyzmu. Despotyzm nie trwa wiecznie, — a jakąż my wartość przywięzywać możemy do wolności, w której imieniu nas gnębią? Znajdziemy poszanowanie i sprawiedliwość u tych, których barbarzyńcami zowiecie.

„Jedną ma tylko historya logikę: albo znajdziemy u was sprawiedliwość, albo się staniemy waszymi wrogami wespół z całą Słowiańszczyzną. Prawo nasze jest wiecznem: obalcie je, jeśli chcecie, ale pomnijcie na złowrogie wyrazy: Mene, Tekel, Phares.“

Obie powyżej przytoczone mowy mało, albo niewiele wpłynęły na tok obrad i na politykę wewnętrzną rządu pruskiego. Ważne są one jednak bardzo ze względu na to, iż stanowią niejako wytyczną dla późniejszej postawy posłów polskich w sejmie pruskim.

Aż do roku 1890, a więc przez lat czterdzieści postawa posłów polskich nacechowana była tym samym duchem szlachetnej opozycyi, którym tchnie mowa X. Janiszewskiego i pana Erazma Stablewskiego.

Dr. Kazimierz Rakowski,

Potrzeby polskiego wychodźtwa.

Podług szacunkowego obliczenia wychodźtwo polskie w Niemczech liczy pół miliona głów. Jest to liczba tak znaczna, że przedstawia sobą niejako odrębną dzielnicę, losy której powinny społeczeństwo polskie obchodzić.

To półmilionowe wychodźtwo z prowincyi, które ogółem liczą najwyżej 3 i pół miliona ludzi, jest czemś niesłychanem w historyi nowożytnej. To — rana wciąż krwawiąca się — na organiźmie polskiego społeczeństwa pod panowaniem pruskiem. Od lat dwudziestu ruch ten się wzmaga, potęguje i dziesiątkuje ludność polską gorzej niż najgorsza epidemia. Końca tego ruchu nie widać.

Księstwo Poznańskie nie wejdzie na drogę normalnego rozwoju, dopóki nie ulegnie radykalnej zmianie jego zależność od stojącego na daleko wyższym szczeblu ekonomicznym organizmu społecznego i politycznego, który wysysa z Księstwa wszystkie siły żywotne.

To pewnik.

Gdy jednak terminu nadejścia tej radykalnej zmiany przewidzieć nie można, należy użyć tych zapobiegawczych środków, jakie są dziś dostępne.

Są to: powrót do kraju i przeciwdziałanie germanizacyi na obczyźnie.

Powrót do kraju — jest to idea, której urzeczywistnienie możliwe jest dla niektórych tylko, wyjątkowych jednostek wśród wychodźców, — dla ogółu jednak prawie że niezniszczalna.

Często w listach naszych do wychodźców zapytywaliśmy się o kwestę powrotu i pytaliśmy o przyczyny, które stoją powrotowi zamożnych wychodźców na przeszkodzie.

Jedną z najważniejszych przeszkód powrotu do kraju jest obawa wychodźców przed zmianą znośnych warunków bytu na obczyźnie na gorsze w kraju.

Wychodźcy polscy bardzo często, dobiwszy się grosza na obczyźnie, wracają z całą rodziną do kraju w nadziei, że potrafią się utrzymać tembardziej, jeśli na obczyźnie utrzymać się zdołali pomimo konkurencyi w swym zawodzie. Lecz tu czeka ich zbyt często bolesny zawód, bo o pracę trudno, handel i przemysł zmonopolizowany w rękach przedsiębiorców-wyzyskiwaczy, warunki bytu znacznie gorsze. Doznawszy takiego rozczarowania na „łonie Ojczyzny“, biedacy ubożsi o koszta podwójnej podróży i przeprowadzki, wracają z rodzinami na miejsca upatrzone na emigracyi, gdzie czeka ick praca pewna i dobry zarobek i gdzie tęsknią do kraju z daleka.

Lecz nietylko obawa pogorszenia bytu materyalnego powstrzymuje wychodźców od powrotu do kraju; znalazłoby się dużo takich, którzyby nawet i niższym zarobkiem w kraju się zadowolnili, ale powstrzymuje ich przed złem obchodzeniem się pracodawców. „W tym roku — pisze jeden z korespondentów — przyjechał do Zgorzelic z Krakowa pewien agent, szukając robotników Polaków dla pewnej fabryki maszyn w Krakowie. Warunki dawał wyborne: podróż III klasą do Krakowa dla całej rodziny robotnika, na miejscu w Krakowie ta sama płaca co i w Zgorzelicach, a w razie, gdyby się komu w Krakowie nie podobało, po pół roku powrót III klasą na koszt fabryki.

„Pomimo to agent ten pośród Polaków nie znalazł ani jednego robotnika, jakkolwiek w fabrykach nas tu bardzo dużo pracuje. A to dlatego każdy się bał, że w kraju pracodawca lub pierwszy lepszy urzędnik gospodarczy będzie nim pomiatał, jak rządzca parobkiem. Obawa przed większem ograniczeniem osobistej wolności w stosunku do pracodawców jest jednym z motywów, które najczęściej powstrzymują wychodźców od powrotu do kraju“. —

Te więc przyczyny paraliżują w większości wypadków myśl powrotu do kraju.

A teraz drugie pytanie: czy wychodźtwo polskie może prowadzić walkę z germanizacyą?

Sądzimy, że tak.

Trzeba przedewszystkiem staranniejszego wychowania narodowego w kraju.

Z wzrostem oświaty narodowej w kraju wzrastać też będzie i wśród rodaków na obczyźnie oświata, której cechą jest pozostanie wiernym narodowi.

Dalej — organizacya naszego

wychodźtwa pozostawia wiele do życzenia. Nie mamy tu na myśli ściślejszej organizacyi w towarzystwach, związkach, wiecach i t. d., lecz organizacyę zasadniczą, ekonomiczną, to jest taką, którąby wychodźców polskich kierowała do tych samych okolic obcego kraju, aby wytwarzać wśród nich silne, liczebne grupy, a nie rozpraszać się po całym wielkim obszarze.

Jeśli dziś istnieją takie większe grupy wychodźców w Berlinie, w Westfalii, to utworzenie się powstało niejako nieświadomie, li tylko dzięki ekonomicznemu ciążeniu, ale bez planu i zamiaru. Często się zdarza, że wychodźcy, jadący do Ameryki, z musu zatrzymawszy się w Berlinie, pozostają tu już na stałe, znajdują pracę i dziękują losowi co ich tu zaprowadził. Ale bo też istotnie przypadkowi ster swych kolei oddali w ręce. Wychodźcy, co przybywają do Westfalii, zazwyczaj przedtem jeszcze opłacają „frycowe,“ tułają się po Saksonii, w rozmaitych przemysłowych zakładach, przy budowie kanałów, przy kolejach w Hanowerskiem i t. d., zanim wreszcie przybędą do Westfalii. Tak n. p. w Misburgu (w Han.) jest rodzaj jakby stacyi przechodniej dla Polaków, dążących dalej na Zachód. Przeciętny Polak bawi tu pół roku, czasem i króciej — i idzie do Westfalii: z tego wynikają nietylko materyalne straty dla wychodźców, ale wyrabia się w nich żyłka włóczęgowska, stająca się później przeszkodą w stałej, porządnej, spokojnej pracy.

Lecz pomińmy te drobniejsze względy: główny wzgląd, na który całe społeczeństwo powinno zwrócić uwagę, jest ten, że tylko silniejsze jednostki są w stanie przebojem przejść przez ten labirynt obcego kraju i dostać się do większych środowisk przemysłu i polskiego wychodźtwa: całe zaś tysiące i tysiące wychodźców w rozsypce zupełnej, bezradne, pozostawione sobie, rozsypują się jak piasek na pojedyńcze atomy i bez pożytku dla siebie, a ze szkodą dla kraju, osiadają na wielkich obszarach w pojedynkę, bez komunikacyi ze sobą, oderwane od głównego ruchu. Tak widzimy w całej Saksonii, w całym Hanowerze, w Anhalcie i w prowincyi holsztyńskiej w każdej niemal mieścinie po kilka rodzin polskich, które nieraz gorszą cierpią biedę, niż przedtem w kraju. Zarówno w kopalniach anhalckich, jak i w saskieh cegelniach pracują tysiące Polaków rozrzuconych po całym obszarze prowincyi, a skazanych na zarobki daleko gorsze niż np. w Westfalii. Tylko biegiem wypadków, który ich w te strony zapędził, można sobie wytłomaczyć, skąd się oni tu wzięli i dlaczego w takiej biedzie pracują.

Tu widać brak oświaty — i brak organizacyi: skoro nasi wychodźcy już muszą kraj opuszczać, niechajże przynajmniej z największym to czynią dla siebie pożytkiem, a najmniejszą stratą dla społeczeństwa: niech fala wychodźcza skierowuje się świadomie w okolicę, gdzie czekają wychodźców warunki materyalne i gdzie narodowość ich znajduje oparcie w znacznej liczbie współbraci.

Jak społeczeństwo nasze zdobyło się na takie towarzystwa jak np. czytelni ludowych, albo inne, ogarniające całość społeczeństwa w pewnej dziedzinie, tak samo powinno istnieć w Poznańskiem *towarzystwo emigracyjne*. Myśl tę poruszaliśmy już nieraz, a warunki same wciąż ją na nowo nasuwają.

Vester.

Echa z Górnego Śląska.

Coraz jaśniej i jaśniej zarysowuje się w oczach społeczeństwa polskiego, przebudzenie się i rozwój narodowego ducha polskiego na Górnym Śląsku. Od poziomu narodowego rozbudzenia zależy zawsze i polityczne uświadomienie. Sądząc z narodowego rozbudzenia, powinienby lud polski na Górnym Śląsku mieć swoich własnych polskich wybrańców jako posłów w parlamencie, w sejmie prowincyonalnym, w radach miejskich i gminnych.

Niestety tak nie jest. Poziom politycznych praw nie odpowiada wcale narodowemu rozbudzeniu Górnego Śląska. Widzimy, że ludność polska wysyła z Górnego Śląska Niemców jako posłów do Berlina. To samo się dzieje i z wyborami do innych ciał reprezentacyjnych. Nigdzie ten lud polski niema ani jednego posła, któryby jawnie i otwarcie powiedział: „Jestem Polakiem — reprezentuję tu ludność polską Górnego Śląska.“

A dlaczego lud polski tak bardzo jest pod tym względem upośledzony, łatwo się domyślimy. Widzieliśmy przecież na przykładzie towarzystw św. Aloizego, jakiem to zazdrosnem okiem patrzy duchowieństwo niemieckie na rozwój polskiego ducha w tym ludzie, jego duchownej pieczy powierzonym. I w tym razie, gdy chodzi o polityczne życie ludności polskiej, nie kto inny, tylko to duchowieństwo jest przyczyną, dlaczego lud polski niema swoich własnych posłów. Duchowieństwo przez długie lata starało się utrzymać lud górnośląski w nieświadomości tego, że ojczyzną Górnoślązaka, tak samo jak i Poznańczyka, albo Warszawiaka — *jest cała Polska.* Duchowieństwo to najchętniej popierało wszelkie związki tego polskiego ludu, oderwanego od pnia macierzystego, — z niemieckimi katolikami. A łatwy po temu miało argument dla przekonania tych, co nie rozumieli jeszcze wcale, że narodowość polska to jest rzecz odrębna zupełnie od religii. Duchowieństwo to mówiło ludowi górnośląskiemu: „Macie oddawać głosy na katolika, boście sami katolicy; a poseł wasz po niemiecku mówi, to nic nie znaczy: chodzi tylko o to, aby był dobrym katolikiem.“

I lud polski przez długie lata dał się wodzić na pasku tym argumentom. Ale teraz przejrzał i widzi, że co innego jest religia, a co innego narodowość: że pospołu z Niemcami możemy być kato-

likami, ale nasza narodowość jest polska, więc tylko Polaków na posłów możemy wybierać.

Lud górnośląski przejrzał też i pod tym względem, że widzi dzisiaj jasno rolę, jaką niemieckie duchowieństwo chciało wobec niego odegrać; widzi on wyraźnie, że księża dlatego taki nacisk kładli zawsze na wspólność wiary z Niemcami, aby ten lud się nie spostrzegł i powoli przerobić się dał z polskiego na niemiecki, w mniemaniu, iż tylko przed utratą wiary chronić się należy, narodowości zaś pozbyć się nie grzech, byle wierze pozostać wiernym.

Tak się też stało, że wreszcie lud polski przejrzał i widzi, że jego duchowni opiekunowie obok duszpasterstwa kapłańskiego trudnili się germanizacyą, to jest przerabianiem Polaków na Niemców.

Dlaczego to czynili? Dlatego, że szli w ten sposób ręka w rękę z rządem pruskim, że w Berlinie umiano ocenić i wynagrodzić te ich „zasługi“, że je wynagradzano orderami i zaszczytami, że wraz z junkrami pruskimi w nich upatrywano „podpory tronu“. Księża prawdziwie oddani sprawie ludu polskiego, księża mieniący się Polakami, skazani są zgóry już na pominięcie w protekcyi i łaskach.

I tak więc w duchowieństwie na Górnym Śląsku widzimy jakby dwa odrębne ciała kapłanów z powołania, i germanizatorów, którzy są też księżmi.

Jakie szkody stąd dla ludu wynikają, któż opowie?!

A co najgorsza, że germanizatorzy ci łagodnej formy używają do osiągnięcia swych celów. Oni to prowadzą lud przez łagodną germanizacyę do wyzbycia się ukochanej mowy polskiej, do zapomnienia o przeszłości naszych ojców, do zapomnienia o tem wszystkiem, co wraz z wspólnością narodową z ojca przechodzi na syna.

„Pozwólcie tylko duchowieństwu działać, nie zaostrzajcie położenia, mówił ks. Glowatzki do ministrów, a wszystko będzie dobrze!“

O, my wiemy, co to znaczy: to znaczy, że *zapomocą germanizacyi przez Kościół zaprowadzeni być mamy do niemieckiej owczarni i tam zatracić mamy narodowość!*

My tego nie chcemy!

My nie chcemy takich przewodników!

My chcemy pozostać tem czem jesteśmy — Polakami, przywiązanymi do ojczystej mowy polskiej na wiecu i w kościele, w modlitwie i w zabawie, przy pracy i w polityce. Na pasku germanizacyi przez kościół lud górnośląski nieda się zaprowadzić tam, gdzieby zapomniał, że pomiędzy Górnoślązakami a Wielkopolanami z nad Warty, lub Krakowiakami z nad Wisły, albo Mazurami z pod Warszawy silniejszy jest węzeł, niż pomiędzy Górnym Śląskiem a państwem pruskiem.

Bo tamten węzeł zadzierzgnął przed wiekami — na wieki wieków sam Pan Bóg — a ten kilkadziesiąt lat temu królowie pruscy zawiązali.

Dziś wprawdzie szerzy się po Górnym Śląsku zaraza hakatystyczna. Związek towarzystw hakatystycznych, liczący 22 towarzystwa, chwali się tem, że coraz więcej się garnie do Hakaty katolików-centrowców — ale to marna i płonna praca: bo co Bóg złączył na wieki, w co Bóg tchnął iskrę jednolitości narodowej, tego nie rozłączą ludzkie knowania, tego nie zagasi syk hakatystycznej jędzy.

Niechaj więc żyje Śląsk Górny wraz z Poznańskiem, jako dzieci jednej matki! Razem niech się bronią, skoro razem ich teraz los złączył w niedoli!

Górnoślązak.

Z blizka i z daleka.

Zlot dziarskich sokołów okręgu zachodniego, który się odbył w Rixdorfie, dał nam dowód, że i na obczyźnie rodacy nasi silnie się czują złączeni nierozerwalnemi węzłami z narodem polskim, że pierś ich ożywiają te same uczucia i dążenia, co rodaków w Ojczyźnie.

Wszystkie serca licznie zebranych rodaków się podniosły, gdy zastęp 200 dziarskich młodzieńców z oczyma zapałem błyszczącemi stanęło na boisku, aby pokazać rodakom, że nie zapomnieli o obowiązkach Polaków, że ćwiczą swe ciała i to nie dla samego ćwiczenia, lecz głęboko przejęci starą dewizą sokolstwa naszego, że w zdrowem ciele tylko zdrowy duch.

* * *

Z Dziembowa pod Piłą donoszą nam, że przed paru tygodniami odbyła się tam uroczystość strzelecka. Do tarczy dali najlepsze strzały Józef Kubacki i Nepomucen Dąbrowski. Podczas gdy innych lat zabawa ta miała czysto niemiecki charakter, z niemieckiemi przemowami i podziękowaniami, tym razem wszystkie przemówienia były po polsku, co wszystkich ogromnie zadowoliło. Szkoda tylko, że przy zakończeniu zamiast naszego polskiego „Niech żyje!“ wołano niemieckie „Hoch.“ Pozatem jeszcze jeden rys niemiły miała ta zabawa. Oto po ukończeniu wszystkiego dowódzca bractwa strzeleckiego zamiast dać hasło do odśpiewania jakiej polskiej pieśni np. „Bracia rocznica“, lub innej, zaczął pan Fr. Kubacki, który jest czytelnikiem „Geseligera“, śpiewać „*Heil dir im Siegeskranz*“ i chciał nawet, aby wszyscy obecni przytem odkryli głowy. Z tego powodu przyszło do awantur i omal nie bójki, gdyż ten pan chciał zmuszać do odkrycia głowy takich ludzi, co właśnie kapeluszem na głowie chcieli mu dać poznać, jak nie w porę jest jego pieśń pruska. Prosimy pana Kubackiego, aby na przyszłość umiał uszanować uczucia narodowe obecnych swych towarzyszów i takiemi pieśniami ich nie drażnił.

* * *

Z Warszawy donoszą, że ordynat hr. Adam Krasiński i Maurycy hr. Zamojski wraz z gronem miłośników sztuk pięknych, wnieśli do ministerstwa spraw wewnętrznych podanie o założenie tu wyższej szkoły sztuk pięknych.

* * *

Z Górnego Slązka piszą do nas, że tamtejszy „Posłaniec Niedzielny“ ostrzega, żeby jałmużny nie słać na zakłady zagraniczne, jak np. na klasztór Salezyański w Oświęcimiu, bo dużo zakładów w kraju mamy potrzebujących podpory. Ale jak tu kochać te nasze zakłady w kraju, gdy one wszystkie niemczą. Tak spotkałem np. niedawno chłopca 15 letniego, syna zupełnie polskich rodziców, który jako sierota został odesłany do zakładu sierót do Czarnowąsów. Słuchajcie, ów chłopiec wcale zapomniał swej ojczystej mowy w owym zakładzie. Tak samo zapewnie i w zakładzie sierót w Bogucicach się dzieje, jak wogóle we wszystkich klasztorach niemczyzna kwitnie, a polskość jest z nich wyparta. Niech się „Posłaniec“ nie dziwi, że serce raczej do takich zakładów ciągnie, jak klasztór Salezyanów w Oświęcimiu, gdzie mowa polska jest szanowaną.

* * *

Z Wilna, stolicy Litwy, donoszą o zabiegach prawosławnej cerkwi, zmierza-

jących do opanowania cudownego obrazu N. M. P. Ostrobramskiej.

Każdemu Polakowi znany jest obraz Matki Boskiej, zamieszczony w Ostrejbramie. Jest on tem dla Litwina, czem obraz Matki Boskiej Częstochowskiej dla Polaka. Otóż na tę świętość litewską pożądliwem okiem spoglądają popi prawosławni ze szkoły osławionego prokuratora synodu prawosławnego, Pobiedonoscewa. Wywodzą oni urojone prawo do Ostrejbramy, że przyległy grunt był swego czasu w posiadaniu klasztoru prawosławnego Ojców Bazylianów. O to wszczynali oni spór od dawna, celem zagarnięcia obcej własności. Zjeżdżali różni archireje w celu zakończenia „sporu.“ Lecz jakiś palec Boży zawisł nad nimi. Jeden archirej przybywszy na sprawę tę do Wilna, nagle zakończył życie; drugi zaledwo przybywszy, zapadł na sercową chorobę i także dość nagle umarł. Po pewnej przerwie znów się „spór“ o Najśw. Pannę Ostrobramską zaognił. Spór ten jednak przy odrobinie dobrej woli stałby się zupełnie bezprzedmiotowym, skoro się zważy, że obraz Ostrobramski już samym wyglądem swym zewnętrznym wyklucza pochodzenie prawosławne. W kościele katolickim czczone są obrazy Najświętszej Panny z Dzieciątkiem i bez niego; w cerkwi prawosławnej zaś Matka Boska zawsze przedstawianą bywa z Panem Jezusem na ręku. A ponieważ Najśw. Panna Ostrobramska jest bez Dzieciątka, prawosławną być nie może. Zdziałali oni jednak tyle, że sprawę popchnęli na drogę procesu.

* * *

Ruch kolejowy między Austryą a Rosyą. Między kolejami rosyjskiemi a austro-węgierskiemi nastąpiło porozumienie, na podstawie którego w najbliższej przyszłości będzie zaprowadzoną bezpośrednia komunikacya na linii Petersburg-Moskwa-Warszawa przez granicę na Bogumin, Budapeszt do Rjeki, a ztąd parowcami węgiersko-chorwackiego Tow. żeglugi do portów adryatyckich Wenecyi lub Ankony.

* * *

W Wąbrzeźnie popisywali się publicznie członkowie tamtejszego „Sokoła“ z współudziałem druhów z Torunia. Przyjechał też komisarz kryminalny Weigt z Torunia z żandarmem. Wogóle władze bezpieczeństwa w Wąbrzeźnie były bardzo czujne przed popisami „Sokoła,“ jak tego dowodem następujący ukaz policyjny, ogłoszony w urzędowym tygodniku powiatowym: „Z powodu zabawy „Sokołów“ ogłasza się niniejszem, że publiczne noszenie stroju sokolego w mieście i na drodze z dworca głównego do miasta jest zakazane. Kto wykroczy przeciw temu zakazowi, zostanie cofnięty, albo zniewolony, aby natychmiast strój ten złożył.“

Nie skończyło się przecież na zakazie strojów sokolskich. Także wszelkie pieśni polskie, bez względu na treść, tylko dlatego, że polskie, były z góry zakazane.

Mimo różnorodnych trudności, popisy „Sokołów“ udały się doskonale.

* * *

„Wiarus Polski“ pisze: Niedawno temu umarła w Ueckendorfie pewna Polka, Siostra Bractwa Różańcowego w Wattenscheid. Rodaczki z Wattenscheid zebrały się na pogrzeb, a po ukończeniu zwykłych ceremonii pogrzebowych, chciano na cmentarzu — jak to wszędzie bez przeszkody od lat dawnych się dzieje — zaśpiewać polską pieśń pogrzebową, lecz władza duchowna z Ueckendorfu nie pozwoliła na śpiew polski. Cóż to ma znaczyć? Łatwo sobie wytłómaczyć, jak boleśnie zostali tem dotknięci nie tylko wszyscy uczestnicy pogrzebu, lecz wogóle wszyscy Polacy w Ueckendorfie, Wattenscheid i okolicy.

* * *

Związek towarzystw hakatystycznych na Górnym Śląsku ogłasza sprawozdanie ze swej działalności od r. 1899. W ciągu roku przybyło 770 członków, obecnie zaś związek liczy 2802 członków. Ogółem jest 22 towarzystw. W dwóch wioskach założono nowe biblioteki hakatystyczne. Zarząd w kilkunastu wypadkach skutecznie się zajął sprowadzeniem Niemców lekarzy i adwokatów do polskich miejscowości. Kierownik agitacyi Związku, dr. Boveschen, w ubiegłym roku objechał cały Górny Śląsk i w piętnastu miejscowościach wygłosił odczyty.

Zarząd wreszcie zaznacza w swem sprawozdaniu, że udało mu się pozyskać znaczną liczbę niemieckich katolików centrowców i wita ich z radością, jako nowych członków.

* * *

Na wydziale medycznym w uniwersytecie paryzkim otrzymali dyplomy doktorów medycyny: pani Julia z Mierzyńskich Chądzyńska, po świetnej obronie nader interesującej tezy o sztucznem karmieniu niemowląt; p. Włodzimierz Bugiel, który za temat do swej rozprawy wziął żywot Józefa Strusia, słynnego doktora polskiego z XVI wieku i pan Napieralski.

Szkołę nauk politycznych i ekonomicznych w Paryżu (Ecole libre des sciences politiques et économiques) ukończyło w r. b. tylko dwóch Polaków: pan Kazimierz Kasperski, oddział ekonomiczny i finansowy, oraz p. Michał Sokolnicki oddział ogólny. Obaj kończący opracowali i złożyli swe tezy, które zaczerpnęli ze stosunków polskich. Pan Kasperski opracował mianowicie kwestyą „Stanu ekonomicznego w Królestwie Polskiem“ ze wstępem historycznym i ze szczególnem uwzględnieniem kwestyi uwłaszczenia włościan. Pan Sokolnicki zaś temat swój wziął z historyi Galicyi od 1830—1846 roku.

* * *

Donosiliśmy niedawno z Parlina pod Mogilnem, że procesya Bożego Ciała została w roku bieżącym ograniczona do cmentarza. Otóż, jak z interesowanej strony nam donoszą, procesya po wsi odbyć się nie mogła, ponieważ prócz gospodarza Snitka nikt nie chciał stawiać ołtarzy. Niechajże sobie parafianie sami przypiszą winę, gdy im teraz przykro, że starodawny zwyczaj procesyi po wsi w tym roku musiał wyjść z użycia.

Z.

Z TYGODNIA.

Ważniejsze kwestye międzynarodowe nie zaznaczyły się w ubiegłym tygodniu z tej prostej przyczyny, że ich obecnie nie ma na porządku dziennym.

Pigmeje podbałkańscy używają prawie zupełnej swobody działania dopóty, dopóki ich zatargi i intrygi nie zagrożą pokojowi powszechnemu, ale na przesilenie wschodnie w Europie chwila nie jest stosowna, a w danej chwili, jak tego już mieliśmy przykład, ojcowskie upomnienie z nad Newy i Dunaju, położy koniec wszelkim na półwyspie Bałkańskim agitacyom.

W Niemczech cesarz Wilhelm, po wzruszeniach poprzednich tygodni szuka wypoczynku w cichym zamku Wilhelmsruh. Kanclerz hr. Bülow wrócił do Nordernay. Feldmarszałek hr. Waldersee zamierza również zażyć wczasów po trudach kampanii chińskiej i powrotnej podróży do Europy, kołysany, jak się zdaje, nadzieją objęcia trochę wcześniej lub trochę później spuścizny po hr. Bülowie. Losy taryfy podwójnej ważą się: zyskała ona potężne poparcie w stronnictwie centrum, ale przeciw niej oświadczył się związek centralny przemysłowców niemieckich, który posiada również wielkie wpływy i stosunki. W każdym razie projekt tej ustawy taryfowej ma iść na pierwszy ogień pod obrady parlamentu, które się rozpoczną w październiku.

Zatarg francuzko-turecki, który zdawał się być już zupełnie załatwiony, odżył na nowo i ostrzejszych nabrał konturów. Munir bey, ambasador turecki w Paryżu, ma być odwołany dlatego, że się w układach z Delcassem zanadto zagalopował. Wogóle sułtan wypiera się swoich przedstawicieli i cofa wszelkie ustępstwa przez nich poczynione. Komedya zaczyna znów przybierać pozory dramatu, ale skończy się ostatecznie na — komedyi. Krew się nie poleje.

Zresztą Francya przygotowuje się już zwolna do przyszłej kampanii wyborczej, a stronnictwa oglądają się za hasłami, jakie mają na sztandarach swoich wypisać. Nacyonaliści wymyślili petycye, które pojedyncze gminy mają podawać o utrzymanie kongregacyi w ich obrębie istniejących. Petycye oczywiście nie odniosą skutku, ale jeżeli agitacya pójdzie dobrze i będzie petycyi dużo, zrobi się ruch nieprzychylny rządowi, a stronnictwo zyska pożądane hasło wyborcze.

Anglia przeżyła świeże chwile ciężkiego rozczarowania. Manewry floty angielskiej, która podzielona została na dwie eskadry, na broniącą brzegów an-

gielskich i na usiłającą opór jej złamać, miały ten niespodziewany rezultat, że eskadra napastnicza odniosła zupełne zwycięztwo, rozwiewając złudzenie, w jakiem się dotąd kołysali Anglicy, że brzegi ich ojczyzny są nieprzystępne dla nieprzyjaciela. Rozczarowanie podziałało tak przygnębiająco na sfery nawet urzędowe, że skrócono manewry, pokwitowawszy z reszty po osiągniętym wyniku, o który chodziło.

Pokazuje się, że wogóle polityka angielska przerachowuje się czasami, tak jak się z wojną boerską przerachowała o kilka miliardów, o kilka lat, i o rezultat ostateczny. Obecnie upada znów nadzieja, obliczająca ostateczny koniec wojny na wrzesień, tak, żeby stanowcze zgnębienie Boerów mogło posłużyć za dekoracyę pobytu następcy tronu i jego małżonki w Kaplandzie. Ostatnia proklamacya Kitchenera, która miała ową chwilę tryumfu przyspieszyć, rozdrażniła tylko Boerów do ostateczności, i popchnęła do skupienia się tem silniejszego w uczuciu nienawiści do barbarzyńskiego najeźdzcy.

Coraz uparciej powtarza się wieść, że lord Kitchener, który w Afryce w żaden sposób laurów zdobyć nie mógł, zdecydował się na skorzystanie z laurowych zapasów w ojczyźnie, dla wiernych jej synów nagromadzonych. Miejsce jego ma zająć generał Lyttleton, jego podkomendny z Sudanu a na początku wojny z Boerami podkomendny Bullera podczas niefortunnej akcyi nad Tugelą.

Otóż ten Lyttleton, na spółkę z „ukochanym“ powszechnie Milnerem, mają próbować dokonania tego, czego Buller, Roberts i Kitchener z kolei dokazać nie mogli, to jest skłonić Boerów do poddania się, albo ich — wytępić...

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Przesilenie ekonomiczne w Niemczech coraz szersze kręgi zatacza i wciąga w wir swój prawie wszystkie gałęzie przemysłu. Milionowe straty znaczy prawie każdy dzień na giełdzie berlińskiej, a zaufanie do przemysłowych papierów niemieckich spada w stosunkach międzynarodowych coraz bardziej.

Przesilenie dotknęło najpierw przemysł żelazny. Wyczerpać się musiały państwowe zapotrzebowania armat, okrętów i broni na wyprawę chińską, niewyczerpane na pozór fundusze skarbowe pruskie stopniały jak śnieg, w eksporcie zagranicznym zapanował zastój, a wygórowane nadzieje przemysłowców niemieckich spotkały się z rozczarowaniem.

Już w zimie zaczęły dochodzić coraz częstsze wiadomości, że w przemyśle górniczym jest zastój i że fabryki ograniczają swe czynności; robotników nowych nie przyjmowano, dawnym obniżano płacę; lecz to nic nie pomogło — fale przesilenia ekonomicznego sięgały wyżej, niż do sfer robotniczych — i wreszcie banki musiały ucierpieć. I tu się ze złego ekonomicznego położenia zaczyna robić tragedya — pokazuje się bowiem przy pierwszem niepowodzeniu, że banki i finansowe przedsiębiorstwa niemieckie były oparte na oszukańczych spekulacyach.

Tak opisuje dalszy przebieg przesilenia **„Dziennik Poznański“:**

„Gromadziły się więc coraz ciemniejsze chmury nad temi niemieckiemi bankami, które licząc nadal na dobre konjunktury, finansowały lekkomyślnie najryzykowniejsze przedsiębiorstwa. Pomiędzy wszystkiemi gałęziami przemysłu najwięcej ucierpiał przemysł elektryczny, przeładowany zgniłemi przedsiębiorstwami. Drezdeńska wielka „Elektricitätsgeselschaft“ Kummera utopiła swoje miliony w Tientsinie i w ryzykownem przedsiębiorstwie kolejowem od Murnau do Oberammergau. Przy samej kalkulacyi ostatniego przedsiębiorstwa „omylono“ się „tylko“ o 1 i pół miliona marek, kolej na dobitkę się nie rentowała i krach stał się nieuniknionym. Za fabryką Kummera poszła drezdeńska „Creditanstalt“, szwindlerskie fabryki kaselskie zjadły miliony wielkiego „Lipskiego banku“, spowodowały jego upadek i tysiące depozytaryuszów przyprawiły o stratę ciężko zaoszczędzonego grosza.

„Jeszcze w końcu zaprzeszłego tygodnia głosili mocarze giełdy oraz wielkie banki berlińskie, że przesilenie minęło i zapowiadano, że po usunięciu niezdrowych żywiołów nastąpi okres nowego rozkwitu ekonomicznego, a tu w paru dniach okazały się wszelkie te zapewnienia prostym manewrem.

„Syndykat koksowy w Essen był zmuszonym, skutkiem stale zmniejszającego się zapotrzebowania koksu przez producentów surowego żelaza, zaproponować niebywałą dotąd redukcyą produkcyi o $33^1/_3$ procent. Zaś z nadreńsko-westfalskiego rynku żelaznego donoszą, że tamtejsza produkcya żyje już tylko z zamówień zagranicy. Gdy te w najbliższym czasie zostaną uskutecznione, nie będzie można uniknąć ograniczenia produkcyi żelaza i zgaszenia licznych pieców. W takich warunkach ceny szybko spadają, a oficyalne notowania syndykatu nie mają znaczenia, gdyż setki innych rąk ofiaruje handlarzom towar po niższych cenach. Zapotrzebowanie surowca zmniejsza się z dnia na dzień, musi więc istnieć wielkie przepełnienie rynku. Podaż jest wielka a popyt mały.

„Dowodem ogólnej depresyi jest także cofanie się interesu emisyjnego, o czem mówi odnośna statystyka z roku 1900. Gdy jeszcze w r. 1899, roku wysokich konjunktur, przypuszczono na giełdzie berlińskiej 264 nowych emisyi wartości nominalnej 2431 milionów marek, przyjęto ich w roku 1900 tylko 249 wartości 2297 milionów, co czyni minus 133 milionów. Dowodem to, że już w zeszłym roku znacznie się konjunktury pogorszyły.

„Za to liczba konkursów stale rośnie. Wprawdzie mamy odnośne urzędowe cyfry statystyczne dopiero z r. 1899, ale i z nich można się przekonać, że cały ów tyle wychwalany rozkwit ekonomiczny służył tylko interesom wielkiego kapitału, podczas gdy mniejsi przemysłowcy, podobnie jak teraz na giełdzie mniejsi właściciele efektów, pieniądze swe potracili. Nowych konkursów było: w r. 1896: 6760, 1897: 6997, 1898: 7364, 1899: 7742.

„Cyfra ta za rok 1890 i w roku bieżącym, jak przewidują, ogromnie się podniesie.“

Od ekonomicznego znaczenia tych przejść, ważniejszem jest jeszcze znaczenie *społeczne* finansowego krachu niemieckiego.

A mianowicie wobec całego świata okazuje się, że osławiony porządek niemiecki i uczciwość handlowa niemiecka nie wytrzymała pierwszych pojawów gorszych warunków zbytu — i to moralne zdemaskowanie „zwycięzkiego pochodu niemieckich kapitałów“ — bodaj że najważniejszym jest faktem w całym tym „pochodzie bankructw i krachów.“

Pisze o tem **„Dziennik kujawski“** trafnie nawiązując do hakatystycznego kierunku niektórych z tych upadłych instytucyi:

„Nie ma dnia, który nie przynosiłby wiadomości o nowym krachu tej lub owej firmy, o samobójstwie zrujnowanego bankiera, ucieczce innego, obłowionego skradzionemi milionami, o zachwianiu tej lub owej firmy lub zastoju w wielu przedsiębiorstwach. I czytelnik spotykający dzień w dzień podobne wiadomości pytać się musi, kiedy i gdzie koniec tych krachów, a przedewszystkiem przyjść do przekonania, że stoi w obliczu wielkiego kryzysu finansowego w Niemczech, który oddawna przygotowywał się z rozmaitych, głęboko tkwiących wypływając przyczyn, aż pewnego razu wybuchł i tyle a tyle instytucyi potężnych poczęło się walić niby domy z kart za podmuchem wiatru.

„Pierwotnie zdawało się, że ruina ograniczy się na Saksonii, Lipsku, Dreźnie i miastach zachodnich prowincyi, tymczasem ogarnął on daleko szersze pola i obecnie wtargnął — do wschodnich prowincyi, do krainy hakatyzmu.

„I tak w Gdańsku owe przez pana Gosslera finansowane w celu poparcia „zagranicznej niemczyzny“ przedsiębiorstwa przemysłowe osiadły na mieliźnie, tak iż sam p. Gossler musiał przez swą „Seehandlung“ wyciągnąć je z błota. Dalej w Poznaniu na Wildzie zaprzestały pracę popierane przez „Ostbank“ kummerowskie „Nordische Werke“, dalej fabryka wyrobów glinianych na Wildzie zawiesiła roboty, wreszcie sam „Ostbank“ zachwiany.

„Patrząc na te walące się gmachy p. Gosslera, co tak przeciwnym moralności społecznej motywom zawdzięczają swe istnienie, możemy powiedzieć: male parta — do czarta!

„A to wielkie przesilenie finansowe w Niemczech, którego jesteśmy świadkami w czem ma swe źródło? Przyczyny tegoż są głębokie i różnorodne, przedewszystkiem leżą w zbytniej łatwości kredytu, i w tej nerwozie pieniężnej, która i niemieckie sfery finansowe ogarnęła jak gorączka tak, iż rozgalopował się cały naród zarówno w polityce, gdzie wyrósł chwast pychy i brutalności: hakatyzm, jak na polu ekonomicznem, gdzie szał

o wszechświatowej wielkości pojawił się w gorączce spekulacyjnej. Ciekawe uwagi w tej materyi znajdujemy w „Internationale Kapitalisten Ztg.“ która między innemi pisze:

„Cała rzecz pochodzi ztąd, że w Niemczech żyło się nad stan. Uważano się za niepokonanych tak pod względem politycznym jak ekonomicznym.

„Do roku 1870/71 byli Francuzi szowinistami w Europie, od tego czasu stali się nimi Niemcy; a to przecenienie samych siebie, własnej siły, wywołało teraźniejsze wypadki. Ponieważ Niemcy długo były zacofane w porównaniu z zachodnią Europą, chciano teraz nagle wszystkiego doścignąć.

„I w Niemczech zapomniano dawnego a prawdziwego przysłowia francuskiego: „Qui trop embrasse, mal étreint.“ (Kto za wiele obejmuje, nie ogarnia wszystkiego dobrze.)

„Tak Niemcy sami oświetlają swą gospodarkę.“

Pozwólmy Niemcom samym oświetlać swe bagno ekonomiczne i finansowe — a tymsamem zwróćmy uwagę na inne nas jeszcze bliżej obchodzące kwestye.

Czytelnicy nasi przypominają sobie, że przy sposobności spisu ludności 1-go grudnia 1900 zażądało 23 ojców rodzin we Wielkiej wsi pod Puckiem od nauczyciela miejscowego Sobczaka, aby w kartach jako język ojczysty podkreślił wyraz: polski, nie zaś kaszubski.

Otóż nauczyciel Sobczak, który działał w myśl władz wyższych, nie chciał ojcom rodzin owych kart pokazać, choć był to uczynić powinien, a gdy się dopominali i na zawezwanie natychmiastowego opuszczenia nie rozeszli się od razu, zadenuncyował ich o najście domu.

Sąd w Pucku ogromnie był oburzony na podobną zuchwałość pruskich poddanych i skazał 21 obywateli na wysokie kary, dwóch oskarżonych: Płomienia i Korthalsa nawet na sześć miesięcy więzienia.

Podsądni założyli apelacyę i uzyskali u izby karnej w Gdańsku 12-go sierpnia w części złagodzenie kary a tylko jeden uwolnienie zupełne.

„Gazeta Gdańska“, referując o tym procesie takie słuszne czyni uwagi:

„Zachodzą w sprawie tej następujące punkta, które publicznie omówić nam trzeba. Zastępca landrata rozporządził i opublikował 24 listopada 1900 w „Kreisblacie,“ że osoby wyznaczone w gminach do liczenia ludności mają we wszystkich wypadkach, gdzie niesłusznie zamiast „kassubisch“ podkreślono „polnisch“, jako język ojczysty, kartę poprawić.

„Ukaz ten landratury był bezprawny. Tylko w okolicach przez Polaków zamieszkałych pozwalają sobie urzędnicy w myśl dążeń rządowych ustanawiać i publikować, że urzędnicy decydują o narodowości mieszkańców.

„Zkąd przychodzi landrat lub ktobądź do tego, aby odbierać człowiekowi najnaturalniejsze z praw ludzkich, by każdy sam sobie zdawał sprawę, do jakiej narodowości należy? Rząd ma dziwne wyobrażenie, że zyska coś przeciw polskiemu społeczeństwu, jeżeli mimo wszystko, co o tem powiedziano i napisano, trzymać się będzie stale polityki, przedstawiającej Kaszubów jako osobny naród. Wiemy wszyscy, że są to Polacy tacy dobrzy jak w Poznaniu, Warszawie i Krakowie, że mają w języku swym tylko różne odmiany jak mają je w niemieckim narodzie Sasi, Szwabi i inni.

„Jak powiadamy, ustawy ani landratowi, ani nikomu wogóle podobnego prawa nie dają. Ale czegoż się przeciwko Polakom nie robi tak sobie według widzimisię?! Jeżeli rząd tyle razy słyszał od posłów polskich, że Kaszubi są Polakami, a sam jest innego, jak powiada, zdania, to zkądże przychodzi do tego jakiś tam „Zaehler“ rozstrzygnąć między rządem a narodem polskim i Kaszubami i oświadczać, że ten i ów niesłusznie do Polaków się zalicza.

„A była tam jeszcze, zdaje się, osobna wskazówka dla gminy, czy nauczyciela, której nie publikowano, która także wymaga wyjaśnienia i omówienia publicznego.

„W wyroku puckim powiedziano, że tym ojcom rodzin, którzy byli w stanie listy i karty sami wypełniać, owe listy i karty do wypełnienia pozostawiono. Otóż to nie zgadza się z rzeczywistością. Bo co do ojczystego języka był ukaz w gminie, że nikt wogóle sam podkreślać nie ma. O ojczystym języku decydować miał raczej ktoś, którego znać Pan Bóg lepszym rozumem natchnął. I tak np. rybak Adas należał do owych wybrańców, co jako uczeńsi i godni zaufania „liczyli“, rozdawali i odbierali karty. Ale temu wybrańcowi Adasowi także zakazano wypisywać, czy „polskim“ czy „kaszubskim“ językiem jako ojczystym włada.

„A więc nie chodziło o łaskawą pomoc i opiekę dla biednych niewykształconych. Ale w sprawie potrzebnego dla rządu „kassubisch“ byli, jak się zdaje, wszyscy nie dość mądrzy.

„A jeżeli chodziło o pomoc, to trzeba było zapytać każdego, gdzie i jakiej pomocy potrzebuje. Opublikowany ukaz mówił o poprawianiu (berichtigen); a porządek pozwolono sobie zaprowadzić taki, że w ogóle jakiś wybraniec sam to wypełniał.

„Na mocy jakiego prawa to się działo? Czy był jaki osobny rozkaz do nauczyciela? Prosimy naszych czytelników w Pucku, aby tę sprawę jeszcze wyświecali i nam o tem donieśli.

„Ale prosimy tutaj: niechaj postępują bracia nasi zawsze ze spokojem i umiarkowaniem. Mało kto nas zrozumie i uwzględni, a kary i koszta bolą.

„W tym wypadku poszli bracia nasi za daleko! Mogli żądać wyjaśnienia od nauczyciela i sołtysa, ale gdy im go nie dano, wolno było tylko użalić się do landratury i regencyi i do sejmu. Władze, które rozporządzenia w myśl polityki rządu wydały, nie przyznałyby im słuszności, ale s e j m i n a r ó d p o l s k i wiedzieliby co i jak się dzieje. A o to tylko chodzi.

„Ale niech Was kara i koszt zanadto nie bolą! Zyskaliście wielką rzecz, oto okupiliście przynależenie do narodowości polskiej, do której i tak wszyscy Kaszubi należą, teraz karą i kosztami. I stała się Wam Wasza narodowość polska tem droższą.

„Cóż rząd zyskał? — pytamy Was bracia, że ma jakieś karty, na których Wy i dzieci Wasze uważani jesteście jako „Kaszubi“, kiedyście Wy sercem, myślą i czuciem jednakowoż Polakami i tylko Polakami?

„Otóż rząd nic nie zyskał, tylko co mógł to utracił, — zyskała tylko nasza narodowość polska. Zbłądziliście, żeście od razu i na pierwsze zawezwanie z pomieszkania nauczyciela nie wyszli, ale taki błąd i w takiej sprawie to błąd niewielki. Załoście okazali, że nie chcecie podlegać żadnej swawoli policyjnej, że rozumiecie godność Waszego polskiego narodu.“

Gdybyśmy tak wszyscy na każdym kroku bronili przysługujących nam praw, jak nasi bracia Kaszubi, z pewnością by nas tak hakatyści nie krzywdzili. Panu Płomieniowi i towarzyszom należy się cześć i uznanie.

Łapy wrzesińskie ustały. Za to szkoła chwyta się rozmaitych innych sposobów. W tej sprawie donosi **„Kuryer Poznański“**:

„Łapy ustały po wakacyach; zapewnie przekonano się, że trzciną nie wbije się miłości do języka niemieckiego. Natomiast muszą biedne dzieci godzinami całemi nieraz o głodzie przesiadywać w szkole po za godzinami planem przepisanemi. Nadto chwycił się inspektor szkolny p. Winter oryginalnego środka. Do wszystkich rodziców rozesła cyrkularz, który dosłownie brzmi jak następuje:

„Wreschen, den 12 August 1901.

Wie ich erfahre, weigert sich Ihre Tochter (Ihr Sohn) am Religionsunterricht in deutscher Sprache thätigen Anteil zu nehmen.

Schon jetzt teile ich Ihnen mit, dass falls Ihre Tochter (Ihr Sohn) bei der Widersetzlichkeit gegen die von den Schulbehörden getroffenen Anordnungen verharrt, sie (er) nicht an dem auf die Vollendung des 14. Lebensjahres folgenden Ostertermine entlassen werden kann, sondern ein weiteres Jahr die Schule besuchen muss.

Der Kreisschulinspektor
Winter.“

„Ten środek radzi niejaki Leo Rosenberg z Poznania w ostatnim numerze hamburskiego pisma „D e r L o t s e“ wynieść do godności ogólnego systemu w szkołach, zwiedzanych przez dzieci polskie, które nie robią postępów w niemczyźnie.“

I to wszystko nazywa się pruską — sprawiedliwością.

Z powodu podjudzań i brudnych projektów gazet hakatystycznych, pomiędzy któremi „Posener Zeitung“ pierwsze gra zwykle skrzypce, nadesłał niejakiś J. Koszczyński z Court w nadreńskiej prowincyi do redakcyi „Posener Zeitung“ list, do którego **„Goniec Wielkopolski“** takie nawiązuje słuszne uwagi:

„Pod nagłówkiem: „naczelny redaktor „Pos. Ztg.“ zostanie niebawem zastrzelony“, rozwodzi się „Posenerka“ o liście nadesłanym jej przez niejakiego J. Koszczyńskiego z Court w nadreńskiej prowincyi, rozpoczynającym i kończącym się słowami: „Jeszcze Polska nie zginęła i zginąć nie może i nie zginie,“ w którym autor grozi „przeklętemu polenfresserowi“ (tj. redaktorowi), który nie wart, aby go robaki stoczyły, zastrzeleniem, jeśli będzie dalej podjudzał, żeby Polacy 3 lata służyli wojskowo. — List niezbyt



Album „Pracy."

Powrót Tatarów z wyprawy.

Rysował W. Szerner.

Drukiem „Pracy".

mądry — lecz arcygłupie doczepiła doń docinki „Posenerka,“ naciągając wadliwą niemczyznę piszącego i robiąc z głupia frant odpowiedzialnemi za ten wybryk polskie pisma. Nie polskie pisma winny wzburzeniu umysłów, referując o iście brudnych projektach „Pos. Ztg.,“ lecz winna sama „Pos. Ztg.“, podając ciągłe podjudzanie na Polaków. Bredzi w końcu jeszcze „Posenerka“ coś o swojej „rycerskości“ w przeciwstawieniu do „tchórzostwa,“ co nie ma ani za tynfa sensu, bo tchórzami są chyba ci pismacy niemieccy, którzy na kilka milionów bezbronnych Polaków wobec 50 milionów Niemców szukają sposobów wytępienia nie w potędze owej zachwalanej „wyższej“ niby to kultury niemieckiej, lecz na drodze eksterminacyjnej. Czyż wobec tego tacy pismacy mogą się dziwić pojedyńczym wyskokom oburzenia, nie odpowiednio wyrażonym?“

Zamiast wysnuwać fałszywe wnioski i głupio dowcipkować, lepiejby hakatyści pamiętali na łacińskie przysłowie: *Vox populi, vox Dei!* (Głos ludu, głos Boga).

Korespondent berlińskiego żydowskiego „Tageblattu“ wskazuje z oburzeniem na Chociszewskiego „Historyą i geografią Polski w krótkim zarysie dla dzieci“, choć co dopiero wyszła, a więc wcale jeszcze rozpowszechnioną nie jest, gdzie czytamy mniej więcej jak następuje: „Pamiętaj, drogie dziecię, że Bóg stworzył cię Polakiem. Czem ojciec i matka są dla dzieci, tem jest Ojczyzna polska dla wszystkich Polaków i Polek. Naszą Ojczyzną jest polska ziemia, polski lud, polski język, polski obywatel i narodowo-polska literatura. I ty, dziecko, należysz do narodu polskiego; jesteś więc cząstką Ojczyzny, jak są nią rodzice twoi, bracia i siostry. Każdy Polak i Polka są zobowiązani kochać Ojczyznę i to tem więcej, że Polska jest obecnie nieszczęśliwą, znajduje się w niewoli i nie posiada własnego rządu.“

„Pomieniona książka pisze „Katolik“ ma być według żydowskiego „Tageblattu“ dowodem, że „wielkopolska agitacya“ chce „gwałtem“ wciągnąć Górny-Slązk w swą sieć. I autor „Tageblattu“ przypuszcza, że wnet agitatorzy nie poprzestając na ludności górnośląskiej, poczną swą działalność w środkowym Slązku, Łużycach i wielkiej części Saksonii.

„Oburzenie korespondenta jest srogiem, bo przecież nie ma w Niemczech „nieszczęśliwych“ Polaków, nie ma „uciśnionych“ itd. itd.“

? ! Ludność polska jest innego zdania. Lepiejby gazeta żydowska uczyniła, gdyby się o żydów i o żydowską ojczyznę, Palestynę, oraz o żydowskie poczucie narodowe postarała. *B. M.*

Głosy od Przyjaciół.

Z obczyzny.

Szanowna Redakcyo

i kochani Bracia czytelnicy szczególnie, którzy na obczyźnie swoje kości marnujecie, chciałbym się was zapytać, co też porabiacie w tych pięknych miesiącach letnich? (Idzie tu o niedziele i święta.)

— Głupie pytanie — niejeden odpowie — myślisz, że dwieście marek lub i trzysta, które za rower dałem, na to wyłożyłem, żebym w domu siedział? Nie bratku — ja się chcę ucieszyć dobrze po ciężkiej pracy tygodniowej i trochę rozrywki nie zawadzi.

Lecz patrzmy jak się to nasza młodzież cieszy.

W sobotę jak przychodzi od pracy to się koło wyczyści, żółte buciki świeżo napędzluje a potem „gdzie jest Zeitung?“ Co to tam gdzie jutro „los“ będzie? Oni to zawsze mają coś „los“. Jedną niedzielę się spędzi „unter deutscher Eiche“, drugą pod niemiecką brzozą lub lipą, trzecią się jedzie na „internationales Wettrennen“ itd. Pomiędzy tymi się bardzo mało czytelników jakiej polskiej gazety znajdzie, bo czy on tam ma czas do czytania? Chyba wtedy jak sobie nosisko strzaska, a po drugie to te polskie gazety są siarczyście drogie a wiele papieru nie ma na tem.

— Niema to jak „Volkszeitung“, którą z gospodarzem na poły abonujemy, to mamy papieru na chleb i dzieciom do szkoły i jeszcze gospodyni pozostaje na przystrojenie ławek i szafy.

Chwilowo nie idzie z tem nic zrobić, trzeba będzie czekać aż ten paragraf do użytku przyjdzie i że Polak, któryby chciał gazetę niemiecką czytać, podwójny abonament płacić musi. Na tem miejscu bym chciał hakatystów poprosić, żeby to oni wzięli w swe ręce, bo tu idzie o kieszeń landsmannów. Lecz dajmy im już pokój. Opowiem wam jeszcze, jako ja pierwsze trzy niedziele w maju spędziłem i com też za wrażenia z nich wyniósł, posłuchajcie:

Pierwszą niedzielę w maju byłem w kościele katolickim i modliłem się z księdzem o zgodę pomiędzy panującymi, za ministrów, o powodzenie oręża niemieckiego w Chinach itd. Potem się przeczytało „Pracę“ i „Dziennik Śląski“ i szło się z „Pracą“ na przechadzkę. W drodze spotkałem się z kilkoma wiarusami, którzy szli na zebranie do polsko-katolickiego Towarzystwa pod opieką św. Stanisława Kostki, i którzy mnie ze sobą zabrali, żebym szedł też ich posłuchać, bo jak mi powiedzieli, ciekawe rzeczy usłyszę; no i usłyszałem ciekawe rzeczy i zobaczyłem znajome twarze; nie było ich tam wszystkich więcej jak 30 osób, a jest to dosyć na związek nie liczący więcej jak piędziesiąt członków.

Przy trzech stołach się rozsiedli, zarząd zaś z księdzem przy czwartym. Nie trwało długo, przewodniczący otworzył zebranie pieśnią kościelną, po odśpiewaniu której, zaraz przewodniczący, który był mi trochę znajomym, zaczął pociski piorunujące rzucać na członków, że jeżeli oni nie potrafią uszanować jego osoby, jeżeli on ma wszystko robić od nowego roku aż do maja itd. Jabym mu też radził, żeby przewodnictwo złożył, a do teatru się z całem sercem udał, na tem polu go większe laury czekają, lecz cóż kiedy mu się, jak słyszałem, tylko przewodnictwa zachciewa, gdyż się później dowiedziałem, że w Towarzystwie św. Jacka w Bottropie był kierownikiem teatru, to mu było za małem, on pragnął być prezesem, lecz gdy się krzesło pod nim wywróciło, tak inaczej nie wypadało jak tylko po angielsku się pożegnać i spotkało go takie szczęście jak Piotrowskiego na Madagaskarze, jeszcze poddaństwa w Towarzystwie nie miał, już był prezydentem i tem się jego zuchwalstwo w Tow. tłomaczy.

Następnie uderzył na korespondenta, który się poważył go i cały zarząd skrytykować we „Wiarusie Polskim“ nie wyjmując nawet księdza, radząc mu, żeby się lepiej o księdza polskiego postarał niż o to, żeby być czynnym prezesem, kiedy nawet słowa po polsku nie rozumie, a Polakami by chciał w Towarzystwie kierować.

Mojem zdaniem miał korespondent słuszność, bo my wiemy dobrze czem to pachnie i co wikaryusz biskupi ma na oku narzucając polskim Towarzystwom Niemców na czynnych prezesów, lecz ludzie, którzy dalej niepatrzą jak przez cień, który od kieliszka powstaje, usłyszawszy od takiego księdza słowo: „Meine lieben Polen“ — już mają zdania wyrobione: „A to ci ksiądz, jaki on Polakom życzliwy“ i t. d.

Lecz wróćmy do tego zebrania. Gdy potem członkowie stanęli za korespondentem, że miał słuszność, zaczął przewodniczący oraz jego brat brać księdza w obronę, brat przewodniczącego nawet powiedział, żeby się księdzu przypodobać, że to jest wszystko jedno, albo się po polsku, albo po niemiecku spowiadasz, kiedy tu niemieckie pieniądze zbierasz, to się też nie wstydź po niemiecku mówić.

Rozumniejsi członkowie na to śmiechem odpowiedzieli, a gdy się później energicznie o księdza polskiego upomnieli, dostali odpowiedź od zarządu, żeśmy tutaj w czterdziestogodzinne nabożeństwo też mieli godzinę dla Polaków na adoracyę przeznaczoną. Gdy potem krzyknięto: „My chcemy księdzą! Towarzystwo już tutaj istnieje przeszło trzy lata a jeszcześmy księdza polskiego do spowiedzi nie mieli!“ wtedy ucichł zarząd, nawet ksiądz ani słowa nie odpowiedział. Następnie gdy się członkowie zaczęli energicznie dopominać odrzucenia nieprawnie przyjętych, narzuconych ustaw, przewodniczący odebrał mówcy głos i zebranie zamknął.

Wędrowiec.

* * *

Bernburg.

Szanowna Redakcyo!

Tak jak lato poprzednie, tak i w bieżącym roku przebywał tu polski ksiądz od 1 — 9-go maja i słuchał wychodźców, tu szukających zarobku, spowiedzi po polsku. Natłok był ogromny a przedewszystkiem w niedzielę 5-go maja po odprawieniu sumy, gdy wszedł ksiądz na ambonę i powiedział krótkie, ale treściwe kazanie tak, że można było widzieć, jak łzy po licach spływały na ziemię, a kościół był tak przepełniony, że niemożna było z miejsca się ruszyć, chociaż niemieccy katolicy po sumie kościół opuścili. Kiedyż indziej my wygnańcy słyszymy słowo Boże w polskim języku? Wieczorem zwołaliśmy zebranie i zaprosiliśmy proboszcza miejscowego i przyjezdnego księdza polskiego.

Napierw przemawiał proboszcz tutejszy w obszernej i treściwej mowie i podawał wskazówki, jak można ospałych

Polaków obudzić i ubolewał nad tem, że choć pokaźna liczba Polaków zamieszkuje w Bernburgu, to jednak w Towarzystwie zawsze jedne i te same znajome twarze się widzi. Następnie przemawiał nasz czcigodny gość.

Był na zebraniu gość jeden też Polak podróżujący, przejeżdżający przez Bernburg, nas odwiedził i ten pan wypowiedział treściwą mową, zachęcając do utrzymania narodowości.

Czytelnik „Pracy."

* * *

Ueckendorf (Westfalia).

Kochana „Praco."

Wioska nasza Ueckendorf, położona w powiecie Gelsenkirchen, liczy przeszło 20 tys. mieszkańców a pomiędzy tymi około 3 tys. Polaków, po większej części z Prus Zachodnich, Warmii i Księstwa Poznańskiego.

Zatrudnienie znajdują przeważnie w kopalniach węgla kamiennego, gdzie ośmiogodzinną pracę mamy. Towarzystw polsko-katolickich mamy dwa: jedno pod opieką świętego Jana Chrzciciela, a drugie św. Antoniego i Kółko śpiewu „Sokół". Towarzystwa nasze rozwijają się znacznie a osobliwie Kółko śpiewu „Sokół". Za staraniem w zarządzie postępuje drogą prostą, w najlepszym porządku.

Tow. św. Jana Chrzciciela miało swoje posiedzenie, na którem szanowny nasz rodak St. Kunz wygłosił słów kilka z zachętą do oświaty, a szczególnie do czytania „Pracy"; tak też szanowny członek Tow. naszego, a zastępca przewodniczącego Kółka śpiewu Sokół Józef Trzeciakowski wniósł wniosek, ażeby Tow. św. Józefa też „Pracę" abonowało. Wniosek został przez wszystkich przyjęty. Tak się dzieje na obczyźnie, jeden drugiego zachęca do czegoś dobrego, więc ta rzecz pożądana odniesie wkrótce skutek. Tu na obczyźnie mamy pisma rozmaite, chociaż tylko z tego zapracowanego grosza żyjemy. Inaczej ma się rzecz w naszych rodzinnych stronach, jak n. p. w wiosce Zakrzewie, powiecie Rawickiem. Któż tam nie czyta „Pracy"? Ale i takich nie braknie, którzy z firmy Bebla abonują. Nie są to żadni robotnicy, ale posiedziciele. O polskość bardzo mało dbają. Jeszcze więcej mam do powiedzenia o Zakrzewie jako to: że jest tam polska oberza pod tytułem „Zur Erholung".

Polski kramarz ma na sprzedaż papier do pisania z niemieckiemi nagłówkami i t. d. Tak to dbają o dobro narodowe! Może się też jeszcze da naprawić, choć nie zaraz. Jeżeli jeszcze „Pracy" w Zakrzewie nie ma, to niebawem zawita i też może w sąsiednich wioskach i jeżeli my się o to będziemy starali, aby w naszych rodzinnych stronach „Praca" była czytana.

Z pozdrowieniem

Stanisław Krawczyk,
górnik.

Łzy.

Stoi chłopię — pobladło, jak chusta,
Bosą nogę gorąca krew broczy,
Kurczem drżące ściągnęły się usta,
Ale jasne, jak niebo, ma oczy;
Tylko czasem coś dziko w nich błyśnie,
Pot kroplisty wystąpi na skronie;
Dziecko pięści u serca zaciśnie
I zduszony jęk kona mu w łonie.
Lecz po licu krwawe przeszły wary,
Złote włosy wiatr z czoła gdzieś żenie,
Bosy chłopak w koszuli swej szarej
Spojrzał niby gladjator w arenie.
Tak, gladjator — w śmiertelnych zapasach
On się z bólem, strasznym wrogiem, łamie.
„Słuchaj, dziecię! są ziółka po lasach,
Zbawcza siła jest w kwiatów balsamie;
Ja ci z gaju kaliny przyniosę,
Macierzanki poszukam na łące,
I srebrzystą otrząsnę z niej rosę,
I listeczki przywinę woniące.
Pod ich chłodem wnet ból się ukoi
I palący żar ognia złagodzi"...
„Mnie nie trzeba balsamu, co goi,
Mnie nie trzeba balsamu, co chłodzi,
Bo ja drzazgę w ranie mam głęboko,
A ból tylko krew w żyłach zapali,
I z tej spiekłej krwi mojej posoką
Złe na wrzącej wyrzucę precz fali!"
„Biedne dziecię! ból nieraz zabija,
Ból olbrzymów powala do trumny."
Zadrżał chłopiec, łza w oku się zwija,
Ale nagle wzrok strzelił mu dumny.
„Nie! zawołał, to coś, co drga we mnie,
To nie w łzy mej, nie w krwi jest kropelce,
Anioł jakiś szepcze mi tajemnie,
Że siedliskiem żywota jest serce
A to serce!... chodź, słuchaj, jak bije,
Jak potężnem tętnem mi uderza;
Ból gangreną póty nie zabije,
Póki w piersiach jest życia moc świeża!"
Zamilkł chłopiec — twarz zbladła, jak
chusta,
Bosą nogę gorąca krew broczy,
Kurczem drżące ściągnęły się usta,
Ale jasne ku niebu wzniósł oczy.

Marya Ilnicka.

Cesarzowa Fryderykowa.

Od kolebki do trumny.

Dzień 21 listopada 1840 r. był w Bukingham-Palace dniem radości. Królowa angielska powiła pierworodną córkę, która na chrzcie św. otrzymała imię swej matki.

Właściwie tedy należałoby ją nazywać cesarzową Wiktoryą. Córka królowej Wiktoryi i księcia Alberta wszakże pozostała tak długo „księżną Fryderykową," że imię jej męża nawet podczas jego efemerycznego panowania przylgnęło do jej nowego tytułu. Za życia męża była dla wszystkich „księżną" i „cesarzową Fryderykową," i widocznie chciała być tak zwaną, skoro po tragicznej śmierci ukochanego małżonka przyjęła urzędownie to miano.

Wychowanie młodej księżniczki było bardzo staranne. Zajmował się niem, pod czujnem okiem ks. Alberta, baron Stockman, który baczył jednakowo pilnie na rozwój fizyczny i na rozwój umysłowy dziecięcia. W czwartym roku życia młodziutka „Pussy" mówiła już płynnie po francuzku i umiała na pamięć poezye Lamartine'a.

Już w r. 1855 przybył do Anglii ks. Fryderyk Wilhelm pruski, by prosić o rękę młodej księżniczki. Syn ówczesnego następcy tronu pruskiego, wykształcony i urodziwy, wstępnym bojem zdobył sobie serce dziewczęcia. Lecz i królowa Wiktorya i książę Albert, biorąc pod uwagę piętnasty rok córki, prosili, by nie mówił jej nic jeszcze o swych zamiarach, by nie zakłócał spokoju wiośnianej duszy. Być może, iż żywili dla pierworodnej córki nadzieje świetniejszego małżeństwa, niż związek z książątkiem domu pruskiego, dalekiego podówczas od dzisiejszego znaczenia i potęgi...

Psotny Kupido skrzyżował projekty rodziców. W dniu 29 września, czyli w ośm dni po ujawnieniu swych matrymonialnych zamiarów, książę Fryderyk znalazł się podczas konnej przejażdżki obok księżniczki Wiktoryi. Nie schodząc z siodła, zerwał z krzewu pęk białych kwiatów i ofiarował je dziewczęciu wraz z wyznaniem swej miłości... I na pytanie, czy chce być jego żoną, zarumienione dziewczę wyszeptało: tak!...

Ślub jednakowoż odbył się dopiero w półtrzecia roku później: w dniu 28-go stycznia 1858 r. Związek księżniczki angielskiej z Hohenzollernem przyjęto z wielkim entuzyazmem w Prusach — ze znacznie mniejszym w W. Brytanii, gdzie szczerze ubolewano nad losem młodej księżniczki, „rzuconej na pastwę wstrętnego Bismarka." Potrzeba było długich lat, by ukoił się gniew Anglików. Zaś królowa Wiktorya tak spowiada się z wrażeń tego uroczystego dnia w swych Pamiętnikach:

„Jest to drugi najważniejszy dzień w mojem życiu. Zdawało mi się, że ja sama wychodzę po raz wtóry za mąż. Ale byłam jeszcze silniej zdenerwowaną, ponieważ nie doznawałam tego rozkosznego uczucia, które wznosi i podtrzymuje — uczucia, iż się oddaję na całe życie temu, którego kocham... Przed obrzędem Vicky (księżniczka Wiktorya) ofiarowała mi śliczną broszkę, zawierającą pęk jej włosów; uściskała mię, mó-

wiąc: „Mam nadzieję, iż okażę się godną być twą córką.“

Kilka lat przemknęło w zupełnem szczęściu. Dnia 27 stycznia 1859 roku przyszedł na świat pierwszy syn, który dziś jest cesarzem Wilhelmem II. Pierwsza wielka boleść — to był zgon drugiego syna Zygmunta, którego śmierć zabrała w chwili, gdy jego ojciec na czele drugiego korpusu armii pruskiej wkraczał do Czech, przygotowując zwycięztwo pod Sadową (1866). Większe, nieobliczalne w skutkach nieszczęście, spotkało księżnę Wiktoryę w r. 1869: ks. Fryderyk udał się na uroczystość otwarcia kanału Suezkiego. Przywiózł ztamtąd zarodek choroby, która miała go toczyć aż do przedwczesnego zgonu.

Nadszedł rok 1870 — klęski Francyi, tryumf i apoteoza Niemiec. Wtedy to rozpoczęła się walka „księżnej Fryderykowej“ z coraz wszechwładniejszym Bismarkiem, który „Angielki“ nienawidził. Jej protest, do którego przyłączyła się cesarzowa Augusta, wymierzony przeciw barbarzyńskiemu bombardowaniu Paryża, wywołał w żelaznym kanclerzu nieposkromiony gniew. Warto zaznaczyć, że inna kobieta, jego żona, namawiała go do zagłady „nowoczesnego Babilonu“. Bismark, znając wpływ księżnej Fryderykowej na męża, stał się odtąd nieprzejednanym jej wrogiem.

Ta wojna księżnej następczyni tronu z apostołem zasady „siły przed prawem“ — trwała ośmnaście lat... Kulminacyjnym jej punktem była epoka agonii księcia Fryderyka w San-Remo.

Bismark usiłował niedopuścić syna Wilhelma I do tronu, i dokładał wszelkich — powiedzmy otwarcie: *niegodziwych* starań, by zmusić księcia Fryderyka do abdykacyi na rzecz najstarszego syna, dziś panującego Wilhelma II, w którym pokładał — zawodne — nadzieje. Do przeprowadzenia swych zamiarów nie wahał się używać najwstrętniejszych środków. U łoża umierającego księcia umieścił oddanego sobie całą duszą hrabiego Radolińskiego, który obecnie jako książę na Radolinie, sprawuje obowiązki ambasadora niemieckiego w Petersburgu. Hr. Radoliński miał poruczony sobie obowiązek wysyłania codziennie poufnych raportów o stanie zdrowia księcia. Depesze szły przez Porto-Maurizio. P. de Bonnefon w swej pracy p. t.: „Un drame imperial“, cytuje kilka tych telegramów.


Cesarzowa Fryderykowa.

Było to w chwili, kiedy Wilhelm I zakończył życie. Bismark pokładał nadzieję, że ks. Fryderyk nie przetrzyma podróży z San-Remo do Berlina i że wskutek tego będzie mógł ogłosić cesarzem Wilhelma II, którego uważał za swego ucznia.

PIERWSZA DEPESZA.

(Hr. Radoliński do kanclerza).

Porto-Maurizio, 8 marca 1888 r, 7 g. 55 m. zrana.

Bergman twierdzi, że podróż zabije.

(podp.) Loe.

DRUGA DEPESZA.

(Kanclerz do hr. Radolińskiego).

Berlin, 8 marca 1888 r., 3 g. 25 m. po poł.

Będzież to gotówką, czy na termin? (Sera ce comptant ou a terme).

(podp.) Musling.

TRZECIA DEPESZA.

(Radoliński do kanclerza).

Porto-Maurizio, 9 marca, 10 g. 50 m. zrana.

Bez nieostrożności na termin, z nieostrożnością natychmiast. (*Sans imprudence a terme, avec imprudence subito*).

Usiłowania hr. Radolińskiego nie odniosły skutku. Chory nie chciał ani umrzeć, ani abdykować. Bismark wysłał wtedy do San-Remo sztab lekarzy niemieckich, na których... liczył. Wówczas to u łoża umierającego miała miejsce ta tragiczna walka doktorów niemieckich z d-rem Mackenziem, do którego księżna Wiktorya jedynie żywiła zaufanie.

Od chwili śmierci męża, cesarzowa Fryderykowa usunęła się zupełnie w zacisze życia domowego. Poświęciła się dzieciom i wnukom, filantropii i sztuce. Z zapałem zbierała cenne okazy sztuki, zamieniając swój zamek w Friedrichshofie na prawdziwe muzeum. Lecz nieuleczalna choroba — ta sama, na którą umarł jej mąż — trawiła ją już oddawna, zatruwając ostatnie lata strasznemi cierpieniami. Charakterystyczny to rys, że pod koniec życia cesarzowa Fryderykowa czuła się w Niemczech bardziej obcą, niż kiedykolwiek, i nawet z dziećmi nie mówiła inaczej, jak po angielsku.

Była to kobieta o umyśle świetlnym i o wielkiej uczciwości charakteru. Lojalna zawsze w postępowaniu, potrafiła być przyjaciółką szczerą i wierną. Życie dało jej więcej goryczy i bólów, niż szczęścia. Bo szczęście nawet w pałacach cesarskich nie częstym bywa gościem.

Uczennica Gladstona.

On miał lat 27, ona 17, gdy następca tronu pruskiego, ks. Fryderyk, poślubił w r. 1858 księżniczkę Wiktoryę, córkę król. Wiktoryi. Ujmująca i piękna, młoda księżniczka wniosła do małżeńskiego stadła dużo wrodzonej dobroci i serca

i staranne wychowanie domowe, które, dzięki naturalnemu pociągowi, rozwinęło w niej zamiłowania artystyczne: rzeźbiła, malowała i pisała z szczerym talentem (którego ślady odbiły się nawet nieco na usposobieniu jej syna); przywiązanie zaś do ojca, „księcia-małżonka“ Alberta, sprawiło, że przejęła się jego humanitarnemi poglądami, które rozumny i zacny ten człowiek nauczył ją czerpać z Dante'go, Schiller'a, Shakespear'a i Goethe'go, oraz z dzieł A. Smith'a, Stuart'a Mill'a i Spencer'a.

Ks. Fryderyk otrzymał również bardzo staranne wykształcenie: był jenerałem, prawnikiem i z dziedziny filozofii,

twardą swą ręką dokonywał ks. Bismark, a które oni odziedziczyć mieli, jako podnóżek dla swego tronu.

* * *

Wypadki postępowały, a następca pruskiego tronu odegrać w nich musiał czynną rolę. Był żołnierzem i doradcą korony; obydwa obowiązki spełniał, jak mógł najlepiej. Gdy w roku 1863 Bismark ograniczył wolność prasy ks. Fryderyk wystąpił z protestem, ściągając na się gniew ministra.

Sprzeciwiał się pogwałceniu konstytucyi, wojnie z Danią, z Austryą, bombardowaniu Paryża, kulturkampfowi, prześladowaniom — wszystkiemu zgoła, co

przed nim nie ugięła czoła, choć całe Niemcy u stóp jego leżały. Inaczej Niemcy wyglądać będą, gdy Fryderyk III zasiądzie na tronie!

* * *

W r. 1886 ks. Fryderyk cierpieć zaczął na ból w gardle. Lekarze różnili się w djagnozie. „Zapalenie krtani“ — w to z całych sił wierzyć chciała księżna Wiktorya; „rak“ — w to odrazu uwierzył ks. Bismark i — odetchnął. Choroba przybierała coraz większe rozmiary i o krtań następcy tronu toczyła się walka. Bismark chciał, by coprędzej stwierdzono, że to rak... nieuleczalny. (Dr. Schmidt wygłosił publiczny



Zamek Friedrichshof przy Cronbergu, w którym umarła cesarzowa Fryderykowa.

literatury i historyi zdobył wiadomości poważne. Ale bodaj czy nie dopiero pod wpływem tej szczerej w swych przekonaniach dziewczyny, wiadomości te ułożyły się w cały światopogląd, któremu już do śmierci miał pozostać wiernym. W każdym razie stała się rzecz niebywała: podczas gdy Wilhelm I panował, Moltke z Roonem przygotowywali zabory, a Bismark kuł cesarstwo we krwi i żelazie — około osoby następcy tronu kupić się poczęły żywioły, z innego na świat zapatrujące się stanowiska: uczeni i artyści, ludzie niezawiśli, o przekonaniach szczerych.

W ten sposób ugruntowany dom rodzinny dał księciu Fryderykowi wszystko, czego tylko po szczęściu domowem oczekiwał. Rodzina się pomnożyła, a u szczęśliwych małżonków wzmagała się wciąż wzajemna miłość i zgodność poglądów i upodobań. Razem pracowali, razem marzyli i myśleli, i razem ze wstrętem patrzyli na dzieło, które obrażało najgłębsze ich przekonania: dzieło, którego

nieodzownem było do ugruntowania potęgi pruskiej. Ks. Fryderyk inaczej podstawy państwa i szczęście narodu pojmował. Jako doradca korony ks. Fryderyk nie święcił tryumfów; jako żołnierz stanął w pierwszym rzędzie niemieckich wodzów, rozstrzygając bitwę pod Sadową i zdobywając laskę marszałkowską na francuzkich polach bitew. Żona jego tymczasem opatrywała rannych i zakładała przytułki dla dzieci robotników; za rządów Bismarcka więcej nie mogli zrobić dla kraju, nad którym mieli panować. Bismarck zaś nienawidził ich, jak tylko on nienawidzieć umiał tych, w których nieprzepartą zawadę przeczuwał: zaciekle i podstępnie. Zwalczał ich wszelkiemi sposobami, prześladował ich przyjaciół, zniżając się nawet do złośliwych plotek, które puszczał w świat, byle tylko zohydzić „Angielkę“, jak stale żonę następcy tronu nazywał. Ona odpłacała mu spokojną pogardą. Ta „uczennica Gladstona“ drugie przezwisko, wymyślone przez Bismarka — nigdy

odczyt o „zaraźliwej chorobie“ następcy tronu!). Żona, zagrożona utratą męża i przyszłego cesarza, póki wątpić mogła — wątpiła, a wciąż taką męża otaczała opieką, że w podziw wprowadzała lekarzy. Przez 13 miesięcy nie odstępowała męża na chwilę, dniem i nocą niosąc mu pomoc i otuchę.

Tymczasem, gdy lekarze walczyli wciąż o krtań chorego, cesarz Wilhelm umarł. Chory ks. Fryderyk, zostawszy cesarzem, nie cofnął się przed spełnieniem obowiązku: w marcu 1888 roku porzucił San Remo, przyjechał do Berlina, uczestniczył w pogrzebie i objął rządy. Świadomy, że krótkie tylko panowanie ma przed sobą, kanclerza nie oddalił, pilnował tylko, by kanclerz wbrew jego myśli nie rządził. Pilnowali tego oboje: ilekroć ks. Bismark przychodził z raportem do chorego cesarza, obok małżonka stała milcząca i pogardliwa „Angielka“, „uczennica Gladstona“! Bismark zżymał się i gniewał, ale znosił wszystko cierpliwie: niedługo to potrwa

I żył Bismark, a ces. Fryderyk umarł po trzechmiesięcznem ledwie panowaniu. Cesarzowa-wdowa cofnęła się smutna, milcząca, żałobna w zacisze domowe, by zdala od ludzi i od tych, co dzierżyli władzę, opłakiwać męża, rozmyślać i cierpieć. Do polityki się nie mieszała: wiedziała co po niej oczekiwać może. Po tylu ciosach i zawodach, które przyniosło jej życie, ta córka królowej i żona cesarza tęsknić musiała za spoczynkiem, za tym spokojnym, „owianym oddechem kwiatów i wspomnieniami, własnym kawałkiem ziemi".

Znalazła go w mogile.

Pogrzeb.

Zwłoki cesarzowej Fryderykowej złożono dnia 13 b. m. w Friedenskirche w Poczdamie. Rano między godziną ósmą a dziewiątą poczęły bić dzwony we wszystkich kościołach w Poczdamie. Około godziny 9 straż zamkowa otoczyła dworzec Wildpark. Wkrótce potem przyjechali pociągiem wyżsi oficerowie w większej liczbie i korpus paziów; z pociągu wyniesiono prześliczne wieńce. Kilka chwil później przybyli czarni huzarzy, przyboczny pułk zmarłej cesarzowej, następnie szwadrony pułku gwardyi przybocznej, która z huzarami zajęła częścią park w Sanssouci, częścią gościniec. O godzinie 10 w cesarskiej sali na dworcu poczęli się zbierać członkowie cesarskiej rodziny, tudzież zaproszeni na pogrzeb goście, urzędnicy dworscy, generalicya, panowie i panie z orszaku, kanclerz hr. Bülow, ministrowie stanu i najwyżsi urzędnicy. Z nowego pałacu zajechał wysłany karawan cesarski zaprzężony w 8 koni. O kwadrans na jedenastą przybył



Prof. Dr. Rudolf Renvers,
nadw. lekarz cesarzowej Fryderykowej.

cesarz z królem angielskim, tuż za nimi cesarzowa z królową angielską. Kwadrans później nadjechał z Cronbergu pociąg z zwłokami cesarzowej Fryderykowej. 20 podoficerów z drugiego przybocznego pułku huzarów przeniosło trumnę z wagonu na karawan. Muzyka poczęła grać marsza żałobnego i wśród bicia w dzwony po wszystkich kościołach ruszył orszak żałobny do Friedenskirche. Cesarzowa i królowa angielska i księżniczki wsiadły do powozów. Tuż za trumną postępowali urzędnicy dworscy, za nimi cesarz, król Edward, obaj w uniformie pułku gwardyi dragonów, cesarzewicz, cesarscy książęta, kanclerz hr. Bülow, ciało dyplomatyczne, generał-feldmarszałkowie, rycerze orderu czarnego orła, generalicya, ministrowie stanu i przedstawiciele miasta Berlina i Poczdamu. Do Friedenskirche przybył orszak pogrzebowy o godzinie trzy kwadranse na dwunastą. Trumnę wniesiono do kościoła, zkąd ją przeniesiono do mauzoleum, gdzie pastor Perseus miał krótką przemowę. Po cichej modlitwie monarchowie i książęta opuścili mauzoleum. Orszak żałobny się rozjechał, a w mauzoleum pozostała cesarzowa sama jedna, w spokoju, którego nie zaznała za życia.



Mauzoleum w Poczdamie, w którem spoczywają zwłoki cesarza Fryderyka III i jego małżonki.

* * *

Wieniec, który miasto Poznań ofiarowało zmarłej cesarzowej, przedstawia się wspaniale. Średnica jego wynosi półtora metra. Uwity jest z wawrzynu, na zewnątrz okolony wspaniałemi różami. Wewnątrz znajduje się korona, uwita z białych róż, a na tem wszystkiem krzyż z wspaniałych orchidei. Na biało-czerwonej wstędze znajduje się w złocie wyciśnięty herb miasta i dedykacya.

Szczególnym zbiegiem okoliczności wieniec żałobny uwity został tą samą ręką, która uwiła bukiet ślubny dla cesarzowej. *K. P.*

Crispi.

Po długiem pasowaniu się ze śmiercią, zgasł w Neapolu syt sławy i goryczy starzec, znakomity patryota, polityk i mąż stanu włoski. Ciało już od dwóch tygodni wyczerpało swoje siły żywotne, a jednak lampa życia nie gasła, ponieważ duch sprężysty jej ostatnie rozbłyski uporczywie podniecał. Nareszcie ostatnia biała smuga skonała w topieli mroku — bez końca — duch opuścił zwątlałe ciało.

Zmarły bohater niezawisłości włoskiej i niezawisłości ducha urodził się dnia 4-go października 1819 w Riberze na wyspie Sycylii, studyował prawo w Palermie, otworzył biuro adwokackie w Neapolu, rzucił się w r. 1848 namiętnie w odmęt rewolucyjny w Palermie, aż do stłumienia rewolucyi ludowej (1849) był naczelnikiem oddziału w ministeryum wojny rządu narodowego. Po klęsce zbiegł aż na północ półwyspu Apenińskiego, do sabaudzkiego Piemontu: a wydalony i ztamtąd, w r. 1853 udał się przez Maltę do Anglii, gdzie wszedł w ścisły związek duchowy z Mazzinim.

Rok 1859 powrócił go Włochom, wraz z Garibaldim zorganizował słynną wyprawę do Sycylii, która miała dać początek zjednoczeniu się Włoch, popartemu przez zwycięzkie armie marszałków francuzkich Napoleona III na krwawych polach Magenty, Solferina i Montebella.

Wybrany w r. 1861 na członka parlamentu, objął w nim kierownictwo lewicy monarchicznej i założył dziennik „Riforma", który służył za organ demokratycznych, wszakże nie republikańskich, zasad Crispiego. Po rozwiązaniu się (d. 18-go marca 1876 r.) „consorteryi", tego wielkiego stronnictwa politycznego, które utworzyło się w r. 1860 pod egidą Cavoura celem dokonania legalnemi środkami historycznego dzieła zjednoczenia Włoch i z wypełnieniem

swego programu narodowego byt swój skończyło, Crispi został prezesem izby deputowanych w Rzymie. W interesie postępowego ministeryum udał się latem 1877 r. w objazd Europy, odwiedził wówczas w Gasteinie Bismarka i zabawił czas dłuższy w Berlinie. W dniu 16-go grudnia r. 1877 wszedł Franciszek Crispi do gabinetu, obejmując po Nicoterze, który rozgniewał Sycylijczyków, tekę spraw wewnętrznych. W marcu 1878 r. musiał jednak Crispi ustąpić z gabinetu, tym razem nie dla różnic politycznych, ale z powodu głośnej w swoim czasie sprawy o dwużeństwo. Wprawdzie sądy uwolniły go, gdyż dowiedziono, że pierwsze, na Malcie zawarte małżeństwo, było formalnie nieważne, ale opinia publiczna nie tak łatwo i nie tak snadnie przebaczyć była gotowa Crispiemu czyn pod względem moralnym bądź co bądź karygodny.

Dopiero w kwietniu 1887-go r. wszedł Crispi napowrót z teką ministra spraw wewnętrznych do gabinetu, na czele którego stał wówczas Depretiz. Kiedy tenże w d. 29-ym lipca umarł, Crispi nie pozbawiając się teki dotychczasowej, objął także prezydyum gabinetu i tekę spraw zewnętrznych. Stanął on wtedy u zenitu swojej potęgi zarówno na tle parlamentarnem, jak międzynarodowo-dyplomatycznem.

Crispi był od początku zwolennikiem przymierza Włoch z Niemcami i Austryą, doszedłszy do najwyższej władzy popierał żarliwie tę kombinacyę polityczną i przyłożył się bardzo do jej rozszerzenia, zacieśnienia i utrwalenia. W tym celu odwiedzał kilkakrotnie swego „przyjaciela Bismarka w Friedrichsruh“ i zjechał się w r. 1888 w Karlsbadzie z hr. Kalnokym. Zabiegi jego w tym kierunku uwieńczyła podróż króla Humberta w r. 1889-ym do Berlina, gdzie zarówno sympatycznego monarchę, jak towarzyszącego mu męża stanu przyjmowano z owacyjnym zapałem, nieczęsto wybuchającym z taką siłą w zimnej stolicy nadsprewskiej. Równocześnie zerwał Crispi układy z Francyą o traktat handlowy.

Naturalnie i słusznie, że przyjaciel Bismarka musiał być nienawidzonym nad Sekwaną. W d. 13-ym września 1889 radykalista Caporali cisnął nań kamieniem w Neapolu; był to kamień potępienia dawnych jego sojuszników radykalnych za związek z największym i najbrutalniejszym wstecznikiem stulecia, a zerwanie węzłów przyjacielskich z republikańską Francyą. Sojusz Crispiego z Bismarkiem był istotnie paradoksalną kombinacyą dwóch biegunów przeciwnych sobie wierzeń i usposobień politycznych. Czy sojusz ten był największym błędem, czy największą zasługą Crispiego, dopiero przyszłość pokaże.

Mimo tego większość narodu podzielała wyobrażenia znakomitego swego męża stanu o pożytkach sojuszu z Niemcami i Austryą. Traktat zawarty w maju 1889 z Menelikiem abisyńskim ulżył Włochom troski kolonialne; w owej chwili zdawały się Włochy pewniejsze, niż kiedykolwiek swej przyszłości.

Kiedy Crispi przystąpił nareszcie po zabezpieczeniu ojczyźnie pokoju, do uporządkowania finansów, kiedyś uporządkowanych przez genialnego Sellę i napowrót rozprzęgłych, kiedy w tym celu podjął rdzenną reformę administracyi i zaproponował nowe podatki, sprzymierzyła się na jego zgubę prawica z częścią lewicy. W dniu 31-ym stycznia 1891-go roku ujrzał się Crispi wobec mniejszości na Monte Citorio i podał się do dymisyi.

Usunąwszy się chwilowo z życia politycznego, powrócił do adwokatury w Rzymie, wkrótce jednak temperament popchnął go znowu na fale skłębione walk parlamentarnych i już w r. 1892-gim potężnem ramieniem swojego wpływu parlamentarnego zepchnął Crispi ze skały tarpejskiej ministeryum markiza Radiniego.



Crispi.

Po Radinim przyszedł do steru Giolitti, a gdy tenże szybko skompromitował się, przyjął Crispi w listopadzie 1893 z rąk króla Humberta znowu misję utworzenia gabinetu. Jako minister spraw wewnętrznych przystąpił teraz z całą, właściwą sobie energją, do zdławienia anarchizmu, równie jak do reformy finansów. Straszliwa wszakże klęska armii włoskiej w d. 1-ym marca 1896 pod Aduą, w której Menelik jakby jakąś rózgą Bożą zmiótł legiony Baratierego, obaliła bezpowrotnie Crispiego. Pod Aduą zbankrutowała polityka kolonialna Włoch, której twórcą nie był wprawdzie Crispi, ale której był entuzyatystycznym pionierem.

Wybory do izby, w marcu 1897 roku odbyte, zgotowały zupełną porażkę jego stronnictwu i jego programowi. Co gorsza — oskarżono Crispiego, że nadużył stanowiska swojego u czoła rządu dla wzbogacenia się własnego i zarzucono mu sojusz z bankierskim oszustem, baronem Favillą. Sądy nie chciały objąć Crispiego aktem okarżenia, wskazując jego nietykalność ministetyalną; wówczas na własne jego żądanie izba deputowanych wybrała komisyę (w końcu 1897 r.), która zbadać miała winę byłego prezesa ministrów. Polecono tej komisyi, złożonej z pięciu członków, zbadanie, czy istotnie Crispi za czasów ostatniego swego urzędowania od dyrektora filii Banku neapolitańskiego w Bolonii, barona Favilli, pożyczonych na cele wyborcze pieniędzy w sumie 600,000 lirów w niedozwolony sposób użył?

Komisya złożyła w dniu 22-go marca 1898 r. raport, w którym stwierdziła, że niema żadnego powodu do postawienia ex-ministra Crispiego przed sądem senatu, zarazem wszakże zaproponowała wyrażenie nagany dla Crispiego za jego nieprawne postępowanie. Wniosek ten w dniu 24-ym marca uchwaliła izba deputowanych 207 głosami przeciw siedmiu. Crispi złożył wówczas mandat poselski, wybrano go wszakże ponownie olbrzymią większością głosów. Popularność Crispiego w Sycylii nie ucierpiała widocznie skutkiem tej niemiłej a zapewne niezaszczytnej sprawy.

Tak więc dwa razy w życiu połknąć musiał Crispi gorzką pigułkę; dwukrotnie narażony był na szykany i obelgi. Byłoby niesprawiedliwością twierdzić, że bez wszelkiej winy. Tylko, że wina nie była ani w przybliżeniu tak ciężką, jak ją formułowali wrogowie polityczni Crispiego.

Wrogów taki niezmordowany zapaśnik posiadać musiał sporo. Stronnictwa zachowawcze zwalczały stale jego radykalizm, Kościół widział w nim słusznie swego nieubłaganego przeciwnika. Wprawdzie Crispi wypierał się uczuć wrodzonej nienawiści do Kościoła katolickiego i utrzymywał, że walczy z Watykanem tylko o tyle, o ile Watykan przyznaje sobie prawa świeckie, wszakże niepodobna przeoczyć tego, że wyobrażał bądź co bądź kierunek najodporniejszy wobec Stolicy Apostolskiej wówczas nawet, gdy sprawa wskrzeszenia władzy świeckiej papieżów wcale w grę nie wchodziła.

Dla ogółu pozostanie Crispi symbolem gorącego patryotyzmu wszechitalskiego, nie znającego żadnych kompromisów na gruncie idei jedności narodowej. Jeżeli Cavour zjednoczył Włochy, to prawda dziejowa przyzna Crispiemu zasługę odrodzenia demokracyi włoskiej i oparcia na spiżowym jej fundamencie pięknego gmachu ojczyzny zjednoczonej.

K. W.

Stach obłąkany.

Szedł przez sioło Stach sierota,
Dawniej — chłopiec zuch!
Zatrzymał się koło płota,
Straszny niby duch.
Włos rozwiany miał na czole,
W oczach świecił szał...
Hen — daleko patrzał w pole
I śmiał się a śmiał.

A w gospodzie grają skrzypki,
Ostro idzie tan —
Hula Mazur, jak skra szybki...
W pląsie Mazur — pan!
Przytupują w takt dziewczęta,
Jak im każe bas —
Hej, kto piosnkę z was pamięta,
Niech ją śpiewa wraz!

Jeno nuta niech zadzwoni,
Kędy szerszy świat —
Gdzie szeleści liść jabłoni,
Śnieży się jej kwiat —
Tam piosenko dzwoń — a pięknie,
Czarodziejsko graj!
Aż w dąbrowie echo stęknie,
Senny zadrży gaj!...

I wybiegli z pieśnią, z krzykiem
Za gospody próg —
Wiódł ich grajek długim smykiem
Na zielony ług.
Rozwinęły się sukmany,
Rozgorzała krew —
Pieśń zabrzmiała — poszły tany,
I tany i śpiew...

Świeci księżyc, świeci jasno,
Patrzy ludziom w twarz;
Gwiazdy zgasną — błysną — zgasną,
Odbywają straż.
Skacze lekki wiatr w podmuchach
Przez olchy i bzy —
Zaświeciły na traw puchach
Brylantowe łzy.
Sennie strumień szepce — wzdycha,
Drży jabłoni liść...
Noc miesięczna — wonna — cicha,
Jeno w niebo iść!...

Lecz bas mruczy, skrzypka kwili,
Darmo wołać — stój!
Powiał dziewcząt pląs motyli,
Wionął chłopców rój.
Grają skrzypki, grzmi ochota,
Serca owiał szał —
Poskoczyli, gdzie u płota
Obłąkaniec stał.

Płyną śpiewy, gwar za niemi —
On, by słupem wrósł;
Tylko gwiazdom, kwiatom, ziemi
Smutny uśmiech niósł;
Zwiędłe liście miał nad czołem,
Przyśpieszony dech —
Wtem zabrzmiały skrzypki, kołem
Buchnął głośny śmiech.

Nie wstrzymali się w mazurze —
Pokręcili wąs:
— „Hejże, Stachu!... z nami — nuże!
Brzmi mazurski pląs!
Co tak patrzysz, zadumany?
Dziewki brak ci?... Hej!
Damy tobie snop owsiany, —
Śmiej się, Stachu, śmiej!...
Dalej, basie!... skrzypki spoczną,
Gdy wrócim pod dach —
Stańcie kołem! nutą skoczną
Zaśpiewa nam Stach!“

Dzwonią skrzypki, bas się miota,
Rwie się smyczkom włos —
W pląs wyskoczył Stach sierota
I zaśpiewał w głos.
Zabłysnęły oczy dziko,
Zrobił sarni skok:
— „Głośniej, głośniej graj muzyko!“
I ujął się w bok.

„Hej! nad Wisłą, nad Wisełką,
Stał ojcowy dom —
W chmurach błysło skry zdziebełko
I spalił go grom.

Hej! nad wodą, nad wiślaną,
Gdzie krzew dzikich róż —
Wyszedł ojciec w pole rano
I nie wrócił już!

Hej! gdzie Wisła się rozlała
W nieprzestępny bród —
Matuś srebrną mgłą się stała
Nad topielą wód.

Oh!... ty falo! — nurt twój śliczny,
Alež z ciebie — strach!
Zatopiłaś łan pszeniczny...
I zwariował Stach!

Z wodą poszły chaty, lasy,
Wszystko — co człek miał...
Grajcie skrzypki! rznijcie basy!
Ja będę się śmiał!“

Pieśń zagrzmiała, jak pioruny!
Grzmią w burzliwy czas —
I umilkły skrzypek struny,
Nie ozwał się bas.

Wypadł dziki śmiech z ust Stacha.
Znalazł w echu wtór —
Zaśmiała się łąka... cha — cha!
Odpowiedział bór.

Tylko jęknął sklep podniebny
Skargą innych ech —
Tylko księżyc pobladł srebrny,
Słysząc Stacha śmiech.

Kazimierz Gliński



Most pomiędzy Brooklynem a Nowym Jorkiem,

należący bez zaprzeczenia do cudów świata, jest w niebezpieczeństwie, gdyż grozi zawaleniem się z powodu zbyt wielkiej komunikacyi, mianowicie wozów ciężarowych. Aby uniknąć możliwej katastrofy, most ten zamknięto na rozkaz policyi dla komunikacyi wozowej.



Kolej żelazna w lasach dziewiczych Nebraski.

Najważniejszą i najstarszą z sześciu linii kolejowych, łączących wschód z zachodem Półn. Ameryki, jest t. zw. kolej centralna, która z Omaha nad rzeką Missouri przez Rocky Moutains do Promontory nad wielkiem jeziorem słonem, a ztąd przez góry Sierra Nevada do Sacramento prowadzi. Tor tej kolei żelaznej jest 3096 klm. długi i został w r. 1869 ukończony. Długość torów wszystkich linii kolejowych od Oceanu Atlantyckiego aż do Spokojnego wynosi 5357 klm. Nasza rycina przedstawia krajobraz w stanie Nebraska, którego spokój przerywa świst i huk pędzącego pociągu kolejowego. Dziki Indyanin przypatruje się ze zgrozą temu potworowi, nie mogąc pojąć, czy to zwierz, czy też zły duch piekielny.

S. Wcz.

Rodzina-Dom.

Jadwiga z Z. S.

(Przedruk dozwolony tylko za podaniem „Pracy“ jako źródła).

(Dalszy ciąg).

A ono?... Gdzie jest?...

Stań na brzegu rzeki, wezbranej falą rzek wielu — słuchaj jej szumu i huku i zrozumiej co ona mówi... Idź do lasu w porę wichrów i gromów — słuchaj szmerów — szelestów — trzasku — echa — gromów i powiedz, iż zrozumiałeś o czem las gwarzył... Wsłuchaj się w tysiączne głosy gwaru ludzkich tłumów goniących i spieszących nie wiedzieć gdzie, nie wiedzieć za czem i powiedz — że je rozumiesz...

Jeśli umiesz to wszystko pojąć — określić — zsumować w swej myśli — to i pojmiesz w czem ludzie widzą szczęście!

Zostawmy zagadkę wieczną — do odgadywania tylu wiekom, ile już wieków ją podawało.

Patrzmy na dom — rodzinę i szukajmy tu szczęścia!

Jest? czy nie ma go?

Mówił Mickiewicz ongi:

„Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie.“

Czy i my to samo mamy prawo powtórzyć?

Nie ma go w Ojczyźnie, więc i w domach nie ma, ale — gdy zacznie kwitnąć po domach — wykwitnie w narodzie i w Ojczyźnie.

Jeśli po domach będzie szczęście duchowe, jasne, prawdziwe, a nie złotem kupowane, jedwabiem szeleszczące — brylantami lśniące.

Kto ma dom i rodzinę, ten musi starać się o szczęście. Jest to najpierwsza zasada — nieodwołalna.

Więc kwestya — jak pojąć i zrozumieć ową troskę o szczęście.

Tysiące nici spleść razem w pasmo równe i trwałe? Tysiące pragnień i marzeń ująć w ramy rzeczywistości?

Sławę, wiedzę, dostatek, miłość, zgodę, piękno, dobro, nadzieję, wiarę, poświęcenie i t. d. i t. d. — kto to zdoła schwycić, utrzymać i tak rozwijać, aby jednego nie było za wiele ze szkodą drugiego?

Ani to na dzień, ani miesiąc, ani rok droga wspólna tych, którzy jako założyciele nowego domu idą razem, aby szczęście zdobyć i dać — a więc jakże wielka przestrzeń przed nimi, jaki daleki obszar do ogarnięcia — ile to, ile powołania i odpowiedzialności?...

Jeśli w domu szczęścia nie ma — jakież upadki, grzechy, przewiny? Ileż łez i nieszczęść, zbrodni i wiarołomstwa, brudu i piekła?

— — — — — — — — — — — — — — —

Świat — zawiedzie sto, dwieście, tysiąc razy, dom — nie może zawieść ani razu. Świat skaleczy, zrani bezlitośnie zbyt często — dom ma dać ukojenie i zagoić blizny.

Świat zmrozi — pesymizmem zatruje — opływa wzgardą, szyderstwem złamie — dom wiarą oświeci, ogrzeje miłością, nadziei poda płomyk świeży i — wszystko uczyni lekkiem a słodkiem, przez ten cel wielki i tę cześć dla ideału, który widny jest zawsze i zawsze do siebie woła.

Oto — szczęście domowego życia.

*) „Los kilku istot zrobić swoim losem,
„Czuć i żyć tylko drogich dusz odgłosem,
„Dla dobra innych, cenić własne życie,
„Dla nich poświęcić każde serca bicie,
„Światem uczynić najmniejszą zagrodę,
„Tam mieć cel życia i życia nagrodę,
„I kończąc cicho wytknięte koleje,
„Za grób swój jeszcze przeciągnąć nadzieje,
„Otóż to szczęścia rzetelne zalety...

Tylko cała rzecz — umieć szczęście zdobywać i szczęście utrzymać!

Są domy, które są bardzo szczęśliwe, spokojne, ciche, pogodne, prawdziwe przybytki zgody i miłości — ale — gdy zbadamy bliżej to życie, przekonywujemy się, iż całe szczęście tych ludzi oparte jest na bezgranicznie wielkim *egoizmie!*

Oszańcowali się okopami wysokiemi — otoczyli bramami i palisadami bardzo silnemi — zamknęli na sto zamków, tak, że ani jęk ludzki nie doleci, ani łzą cierpiących nie zabłyśnie, ani wołanie narodu w potrzebach wielkich o pomoc — nie dojdzie do nich.

Więc o takie szczęście — łatwo, bardzo łatwo. Ale od takich domów broń nas Boże!...

„Nikt nie znał ich życia — nie zazna ich zguby
„To samoluby!“

Szczęście domowe, rodzinne, jest najniebezpieczniejszą próbą charakteru ludzi.

Najłatwiej im w niem utonąć jak w sieci pajęczej, bo właśnie dlatego, iż ono od burz i niepokoi chroni, skaleczenia goi — słodką dłonią pieści — dlatego łatwo zamknąć się, zatykając uszy watą na jęki i gwary świata.

Jednak należy szczęście swoje wplatać w życie Ojczyzny i nieść je jako kłos bujny na skarb narodowego szczęścia...

Nie można zamykać się z szczęściem swem w domu jak w twierdzy — ale też nie godzi się wieszać je jako szyldu barwnego na bramie zajazdu... Rzecz tę należy rozważyć.

Mamy dwa przeciwstawienia.

Tak zwane domy *otwarte* i domy *zamknięte*, w jednych życie wre i kipi — fala gości za falą płynie, huczy, szumi i jak prawdziwa fala, wiele zabiera z sobą, nieraz nawet z korzeniem wyrywając lub fundamenta podrywając — u drugich — zamknięte samolubstwem życie, ani jednego kwiatka z swego ogrodu nie da, ani jednego tchnienia z pól szerszych wziąść nie chce.

Stojąca, spokojna woda porasta — i domy takie porastają pleśnią zacofania — dziwaczeją — wychowują młodzież skarłowaciałą wobec powinności obywatelskich i narodowych.

I jedno i drugie jest błędnem i dla wychowania — szkodliwem.

Największa sztuka iść drogą pośrednią. Ale kto tę sztukę posiada?

Miejmy jak najwięcej optymizmu, różowemi szkłami oczy nasze przystrójmy i — wierzmy, iż tych domów w narodzie wiele. Ale o najlepszych mówić nie mamy. Patrzmy na te, które chromają, byśmy snać sami siebie tam znaleźli, a w ten sposób do poprawy zachęcili.

Dom otwarty — to stacya kolei żelaznej. Podróżni wchodzą, wychodzą, śmiechu i hałasu niosą z sobą wiele — jedni żegnają się, drudzy witają.

W jednych domach, gdzie pan lubi się bawić, zbiera się towarzystwo zwykle w wieczór i w noc długą przy kartach lub innych rozrywkach czas trawi. Niejeden raz żona, matka, gospodyni, jest w rozpaczy, a na to rady znaleźć nie może. Ona musi poświęcać obowiązki święte i wielkie — wychowanie i opiekę nad dziećmi — porządek i systematyczny podział czasu na wszelkie zajęcia — kaprysowi męża, który dziś urządza herbatę proszoną, jutro winta aż do białego dnia, pojutrze obiad dla tylu i tylu osób.

---

*) Fredro.

Dzieci dziś pójdą spać o trzy godziny później, jak zwykle, jak wymaga hygiena i porządny rozkład czasu. Jutro dzieci obiad dostaną o cztery godziny później, jak zwykle. Pojutrze lekcyi nie będzie, bo cały dom zajęty gośćmi.

Lecz — szczęśliwie tam jeszcze, gdzie tylko pan domu lubi zabawy, a matka — ile może stara się urządzić życie spokojnie, tak jak musi być prowadzone przy wychowaniu dzieci i programie życia umysłowego.

Lecz cóż dzieje się tam, gdzie albo oboje państwo płyną łódką najweselszych rozrywek, albo pani sama rzuca się z jednej zabawy w drugą, jedną wizytę za drugą przyjmując w domu?

Dla wielu zdaje się to „bardzo wesołe“ — mówią też często ludzie: a! to miły dom — otwarty — towarzyski!

Jednak ubierz się bracie w czapkę „niewidkę“ — wejdź tam i przypatrz się bliżej rozmaitym aktom tej „farsy“ — przysłuchaj się rozmaitym „dyalogom“, odfotografuj niektóre szczegóły, a wtedy — zdaje się określisz życie takiego domu w inny sposób, innym przymiotnikiem.

Gdy w mieszkaniu powybijane wszystkie szyby, żadne drzwi nie zamknięte — to wiatr zimnem niejeden raz dokuczy, a poroznosi po kątach rozmaite, napozór drobne, a w istocie nieraz bardzo cenne rzeczy... Zdarzy się nieraz tak, iż silny prąd porwie za sobą jaką rzecz i uniesie gdzieś tak daleko, iż jej nie odnajdą ci, którzy wreszcie szukać zapragną.

Gdy życie domowe jest oddane i poświęcone zanadto wielu znajomościom, osobom i sprawom zewnętrznym, tam najważniejsze sprawy życia rodzinno-domowego muszą stać na ostatnim planie i — najmniej zwracają uwagi. W takim domu — jak w niezamkniętym kątku — przeciągi wieją, zimno się wciska, a wiatr szalonego pędu — unosi i roznosi gdzieś daleko cnoty, zasady, powinności.

Nie możemy pojąć, nie możemy zrozumieć, jak te i owe i inne panie mają czasu tyle na wieczne wizyty, rauty, zabawy, herbaty, teatra, bale, ślizgawki i t. d., jeśli w domu jest dziatwa, jest służba, jest przecież życie, które wymaga i żąda oka czujnego, dłoni kierującej — serca ciepłego!... W żaden sposób czasu nie wystarczy na to, aby pogodzić życie domowe z życiem światowem, życie umysłowe z wirowaniem w szalonym tempie walca lub galopady — życie matki, żony i kierowniczki domu — z modą, flirtem, królowaniem i — używaniem świata!

Może ktoś powiedzieć, iż osoby zamożne mają służby dostateczną ilość, mają nauczycieli, nauczycielki, bony, zarządczynie, a te dobrze opiekują się dziećmi i całą machinę utrzymania domu prowadzą.

Czy jednak — obce serca — ręce płacone — zastąpią pracę matki, żony, pani domu?

Zapewne, gdzie *lalka* jest matką, żoną i panią domu, tam nawet lepiej obce serca i obce ręce poprowadzą ruch życia dalej.

Ale czy tam jest *rodzina* wtedy?

Czy tam jest *dom?*

Jest mieszkanie i kilkoro ludzi, a to nie jest ani świątynią, ani szkołą, ani portem, ani ogniskiem, rzucającem wokoło i ciepło i światło.

Domy otwarte — to początek i źródło wielu nieszczęść. Czegoby nigdy nie zaznało i nie obaczyło życie ciche — domowe — rodzinne, to jest codziennym chlebem w życiu rwącem — światowem.

Zkąd ta stara jak świat, nudna jak próżniactwo, szpetna jak grzech — ciągle się powtarzająca historya niewiernych żon i mężów, czy to w powieściach, czy sztukach teatralnych? Zkąd, jeźli nie z tego życia dla drugich, a nie dla domu i rodziny? Zkąd tyle wytężenia, wysilenia, a nawet nieraz naruszenia cudzej własności w wydatkach, jeźli nie z tego życia ruchliwego — domu otwartego?... Zostawmy rodziny, żony, matki, ojców i mężów w ich kole, w ich powinnościach słodkich a miłych, w ich zakresie wśród dziatwy i siebie samych, a przekonamy się, czyli nie będzie mniej skarg na ciężkie czasy, na wydatki pożerające całą pracę mężów i ojców?

Ci, którzy sami sobie nie mogą wystarczyć w życiu domowem, którzy nie mają czem zadowolnić i nakarmić i posilić ducha i serca, ci — jak szaleni lecą i gonią za innymi... Ci — choćby i zostali w domu i w domu żyli — ducha by w życie nie tchnęli i ścian swego mieszkania nie napełnili szczęściem... Kto sam głodny w duchu — ten ducha dawać nie może.

Ludzie wyrobieni umysłowo, myślami podniesieni nad wszelką poziomość i samolubstwo, ci — mają taki ogrom pracy i szczęścia w zakresie domowego życia, iż niemal trudno im choć cząstkę małą poświęcić dla innych.

Jeźli Kordyan Słowackiego woła iż: „świat się nie rozszerzył, ale zyskał na głębi“ — to i ci, którzy najpiękniej życia chwile używają w życiu rodzinnem, domowem, mogą to samo powtórzyć. Oni — świata nie rozszerzają, ale zgłębiają go... Ach! ile te słowa mówią!...

Więc też — owa głębia życia nie jest pustynią piaskiem zasypaną, nie jest gościńcem udeptanym, na którym tylko kurz, pył, wrzawa i ruch... Tu bije źródło czystej wody — głęboko korzeniami wpijają się wyniosłe drzewa — tu skarby się odnajdują... zupełnie jak tam, gdzie wytrwali pracownicy kopią długo, a głęboko!

W domach otwartych — żyje pani dla gości, dla przyjaciół, przyjaciółek, sąsiadów, znajomych, dla nich są uśmiechy wdzięczne, słówka słodkie, uprzejmość zachwycająca... a dla męża — kwaśny humor, nuda... Rzecz to naturalna, przecież mąż nie będzie tak witać słodko jak gość, nie rozpocznie rozmowy o salonowych nazwiskach, ale zwróci uwagę na wydatki rozwielmożnione, albo użali się na źle uprasowaną bieliznę, lub przyzna, iż wychowanie dziecka jest zaniedbane!

Jakże mąż taki nieznośnym się wydaje, wtedy gdy gości niema!

Albo i dzieci! Przy gościach dzieci są miłe, grzeczne, ale gdy ich nie ma, poczynają nudzić, kaprysić, mają upory straszne!

Przy gościach — jak w teatrze — wszystko zdaje się reżyserowane doskonale. Ale, gdy zostanie tylko dom i rodzina... o! zakulisowych awantur i burz i kwasów ogromna liczba!

Ileż to szkody odnoszą dzieci w swojem wychowaniu, w wyrobieniu charakteru, w pojęciu prawdy i kłamstwa?

Istotnie!... Możnaby wielki tom napisać, wykazując czem jest dla wychowania, dla posiewu cnót i wyrabiania charakteru takie życie zewnętrzne, błyszczące, rwące, pełne wrzawy i hałasu.

Lecz — spieszmy dalej.

Rzućmy teraz okiem na domy *zamknięte*, to znaczy domy zupełnie odosobnione, izolowane, oderwane od stosunków z rodakami, ludźmi bliższymi i dalszymi.

Dajmy na to, iż domy te są przybytkiem cnót wspaniałych, że życie ich jaśnieje słoneczną światłością, że wychowanie młodego pokolenia jest prowadzone najlepiej — i cóż?...

Jest jedno zło, jedna wada, jedna smuga ciemna, a tą — odosobnienie.

(Dokończenie nastąpi.)

MIŁOŚĆ BEZ GRANIC.

POWIEŚĆ ORYGINALNA,

osnuta na tle powstania narodowego z roku 1863-go,

napisana przez

Alberta Gorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Niestrzeżone obozowe ogniska poczynały powoli przygasać, na pierwej jasne niebo poczynały występować chmury ciemne i zakrywały księżyc i gwiazdy. Ciemność nocy rozświecały błyski strzał, a po niebie przelatywały błyskawice.

Jęki rannych i konających, głosy ludzkie mieszały się z odgłosem grzmotów; krakały w przelocie stada spłoszonych wron, w dali grała nieprzyjacielska trąbka i grzmiało nieprzyjacielskie „hurra“.

W ciemną noc wrzał krwawy bój. Niebo zaciemniło się bardziej, grzmotom towarzyszyło bicie piorunów, z czarnych chmur lunął gęsty strumień deszczu i zmywał z świeżej krwi ziemię. Była to noc straszna.

Stanisław obchodził z spokojem swoich, zachęcał do wytrwania i dodawał im ducha.

— Przepadniemy tu wszyscy, kapitanie — mówili niektórzy.

— Tylko nie tracić nadziei — mówili silniejsi na duchu.

Padły gęste strzały i znowu kilku z szczupłej garstki runęło na ziemię.

— Źle z nami — odezwały się liczne głosy.

Nieprzyjaciel coraz bliżej podchodził. Spuszczał się z brzegu wzgórza opasującego kotlinę.

Stanisław był przytomny zupełnie; rozumiał ruchy nieprzyjaciela, widział niebezpieczeństwo, jakie jego małemu oddziałowi groziło.

Komenda zawołała do zbioru. Towarzysz potrącał towarzysza, opuszczali stanowiska i zbierali się razem. Ubyło z nich wielu, nie jeden próżno się obzierał za przyjacielem, lub bratem, próżno go wołał, próżno go szukał wśród ciemności nocy, potrącił nogą o ciepłe jeszcze ciało, schylił się i w trupie poznał druha. Stał z załamanemi rękami, zajęczał, urwał ku pamiątce szmat z jego odzieży i wracał między towarzyszów smutny.

W największym pośpiechu składano rannych na kilka wozów, na inne wozy rzucano w bezładzie rozmaite przybory; ledwie krótka upłynęła chwila, komenda nakazała odwrót; ruszono pospiesznie z miejsca, goniły nieprzyjacielskie kule za torującymi sobie przez zarosły las drogę i kilka kul nie chybiło celu, padały na ziemię trupy i ranni, zostawieni od swoich; w ciemności burzliwej nocy niedostrzeżono ich, w zamieszaniu odwrotu nie myślano o nich.

Szczupły zastęp stanął przy wyjściu z kotliny, po obydwóch stronach były zarośnięte wzgórza, przodem ciągnął się po równi las gęsto podszyty. Niejeden odetchnął swobodnie i myślał sobie w duszy, że dla niego noc krwawa przeszła szczęśliwie; myślał sobie: przecie ja jeszcze powrócę do swoich!

Stanisława obstąpiło kółko oddziałowej starszyzny, radzili wspólnie nad tem co czynić wypada.

— Wyrwaliśmy się z matni, przerzuciwszy się w inną stronę i zmyliwszy pogoń — mówili, będziemy ocaleni.

Nakazano ciszę. Każdy oddech w piersi zapierał, słuchano, czy się pogoń nie zbliża.

W dali słychać było przygłuszone pojedyńcze strzały. Deszcz lał ulewny, przestały bić pioruny, tylko błyskawice rozświecały chwilowo widnokrąg.

— Noc ciemna, deszcz leje, nieprzyjaciel nie będzie nas ścigać — mówiono w kole starszyzny.

Wypoczęto krótką chwilę, sformowano się potem na prędce i ruszono w dalszy pochód.

Ledwie posunęła się naprzód kolumna, zaszeleszczały blizkie krzaki, blizki las począł się ożywiać, z za drzew wypływały cienie.

Zaświeciła błyskawica, przy jej świetle ujrzano pod lasem rozstawione roty sołdatów, najeżone rzędem bagnetów.

Kiedy po chwili do ciemności wszystko wróciło, zadrzało powietrze ponownie strzałami.

Oddział miał zagrodzoną drogę. Stanisław stanął w pośrodku swoich, zachęcał do męztwa, sformował kolumnę. Na komendę kolumna szła naprzód z spuszczonym bagnetem, dziesiątkowały ją nieprzyjacielskie strzały, ale nie wstrzymały w pochodzie, podeszła pod las, pod nieprzyjacielskie roty i ich bagnety.

Zadźwięczał bagnet o bagnet, kolumna przyparła o roty, dwie żywe ściany trąciły się o siebie, chwiały się, łamały się tu i owdzie.

Wrzał krwawy bój, nieprzyjaciel poznawał instynktem nieprzyjaciela w ciemności, bagnety zagryzały się w ciało, padały pojedyńcze strzały, ludzkie ciała waliły się na ziemię, ciało na ciało, trup na trupa.

Złamała się kolumna, ale i porozrywały się roty, przez powstałe ztąd otwory przedzierały się odłamki kolumny, wpadały w las i niknęły w ciemności.

Jutrzenka poczęła świtać na wschodzie, kiedy się bitwa skończyła.

Po burzliwej nocy, pogodny wschodził poranek. Po piorunach, po strzałach, po wrzawie bitwy nastąpiła cisza. Tylko ptastwo leśne ranną pieśń śpiewało, tylko wrony krakały.

Wschodzące słońce zaświeciło nad ziemią i nad pobojowiskiem.

Na niebie widać było siedmiobarwną tęczę, symbol przymierza nieba z ziemią. Niebo więcej nie zaleje potopem, nieba nie boją się ludzie, ono choć piorunami ciska, jaśnieje po krótkiej burzy pogodą.

Człowieku! synu tej ziemi! masz ją całą pod panowaniem twojem, niebo ją ludziom na własność oddało, pozwala im żyć na niej w spokoju.

Gdy zatrzęsie się ziemia, gdy wulkan wybuchnie i potopi w falach lawy ludzi seciny, narzekają długie wieki ludzie i skarżą się na nielitość nieba.

Czemuż się nie uskarżają na siebie, gdy sami krwią własną zalewają ziemię? Niebo litościwe, ale w człowieku litości nie ma.

Na pobojowisku leżały trupy, z pokłutemi piersiami, z potrzaskanemi głowami, podarte były ich szaty, walała je krew i mózg biały. Trupy leżały na połamanych broniach, jeden trzymał w skostniałej ręce odłamaną rękojeść pałasza, drugi kolbę roztłuczonej o ludzką głowę strzelby.

Trup spierał się o trupa. Sołdat przylegl głową pierś odzianego w burkę młodzieńca, ręka jego sina wplątała się w jego długie, jasne włosy, młodzieniec w śmierci zapuścił w jego szyję zimne palce, widać walczyli zacięcie; do ostatniego tchnienia szamotali się z sobą, jedna śmierć zakończyła ich walkę.

W gęstych krzakach, na rozmoczonej od nocnego deszczu ziemi, z wspartą o twarde korzenie głową, leżał Stanisław; był nieruchomy, wyciągnięty sztywnie, ręce mu odstawały od ciała, palce były pokurczone konwulsyjnie, głowa podniesiona do góry, zamknięte oczy; usta jego sine były krwią zafarbowane lekko; na piersiach miał rozdartą odzież, w miejscu gdzie była rozdarta czerwieniła się krew zakrzepła; to jego piersi były własną krwią zbroczone.

Obok pana bez życia klęczał na ziemi Michał, wierny jego sługa; na sobie miał nowiuteńki płaszcz sukienny, poły jego za szeroki rzemienny pas zawinął, aby się we krwi nie powalały.

Miał on głowę owiniętą kolorową czerwoną chustką, z pod chustki kapała krew kroplami, ściekała mu do twarzy i padała na ziemię. Czasem kropla krwi na płaszcz mu padła, wycierał ją ręką starannie i zacierał plamę.

Poczciwemu Michałowi ciekły z oczów łzy jak groch grube i paliły go więcej jak krople krwi zapiekłej.

— Boże mój, Boże, czy też pan mój umarł na prawdę i czy też już nie żyje! — zawodził bez ustanku i starał się pana dobudzić, wstrząsając nim co chwila i szarpiąc go za ramię.

Stanisław oddychał jeszcze słabo, przyłożywszy rękę do jego serca, czuć można było jego lekkie bicie, tlała w nim jeszcze słaba iskra życia, trzeba ją tylko było umieć rozdmuchać.

Próżne były usiłowania Michała przywiedzenia pana do życia.

— Oj umarł już, umarł — narzekał. Siadł sobie przy nim na ziemi, spoglądał mu w lica i w ręce wziął jego rękę. Ta ręka była jeszcze ciepła, tętna jej drżały; Michał dosłuchiwał się bacznie tego drżenia, potem porzucił rękę i zerwał się na równe nogi z ziemi.

— Taćże przecie jeszcze nie umarł — zawołał w szale radosnego uniesienia.

Michał w potrzebie umiał sobie dać radę; niktby się nie spodziewał po jego dowcipie, że mu na myśl przyjdzie trzeźwić bezprzytomnego Stanisława wodą, on przecież się zdobył na ten jenialny koncept; obejrzał się z uwagą w koło, kilka kroków od niego była mała kałuża z nocnego deszczu powstała, zszedł do niej, rękami zaczerpnął brudnej wody, niósł ją i lał na twarz Stanisława.

Stanisław westchnął z cicha i wstrząsł się lekko.

— A masz, a widzisz, że dobrze — a mówiłem zaraz, że woda pomoże! dobra woda, zimna woda, o zimna...;

Wiodąc tego rodzaju monolog, chodził Michał od Stanisława do kałuży, od kałuży do Stanisława, nosił wodę garściami, potem, po dłuższym namyśle nową sukienną szarą czapką; lał ją na wracającego do życia Stanisława obficie, przemawiał do niego czułemi wyrazami i zapytywał o stan zdrowia bezprzytomnego jeszcze.

— No jakże panu, lepiej panu? lepiej, lepiej, będzie pan zdrów, jak tylko pan przyjdzie do siebie.

Stanisław był skąpany cały, chłód wody otrzeźwił go, począł dawać znaki życia, ściągał nogi, ruszał ręką, westchnął i zastękał, otworzył oczy. Patrzył długo bezprzytomny przed siebie.

Michał zrzucił płaszcz z siebie, rozesłał na ziemi, zdjął z siebie małą skórzaną tajstrę, otworzył ją i dobył po długiem w niej przebieraniu białą, płócienną koszulę; oglądał ją, mówił: cała, nowa koszula; rozłożył ją, przedarł, poobrywał rękawy i w tajstrę położył.

Zabierał się Michał sumiennie do opatrzenia swego rannego pana. Rozebrał go z płaszcza, zdjął z niego mundur i kamizelkę, podniósł z ziemi i na rozesłanym własnym płaszczu ułożył. Teraz zabierał się do opatrzenia mu rany.

— W piersi kulą dostał, w piersi, szczęście, że w prawy bok, a nie w lewy, gdyby w lewy, jużby nie było czego koło niego chodzić. Dobry pan, biedny pan, na to mu przyszło, a tak się nie bał niczego, a przecież na niego trafiło.

Powoli, ostrożnie podnosił mu z piersi koszulę. Koszula była krwią przylepiona do ciała, oddzierał ją cierpliwie, nitka po nitce, aby tylko nie urazić rannego.

Kiedy już doszedł do rany trudniejsza była sprawa, koszula przyklejała się do żywego mięsa.

Wstrzęsło biednym chłopakiem i ścisnęło go za poczciwe serce: jak ja to poczne, jak ja to poczne — zawodził.

Nie zatrzymawał się wcale w swojej operacyi. Jeszcze raz poszedł do niedalekiej kałuży, zaczerpnął wody do czapki, przyniósł i postawił przy sobie na ziemi. W wodzie maczał czyste płótno i podmywał ranę, miękła powoli kryjąca powoli ranę stwardniała skorupa; powoli, powoli odlepiła się miejscami od mięsa, maczana dalej rozmiękła zupełnie, oddzierana puszczała się z łatwością, tylko ciągłemi nitkami krwi trzymana.

Z odsłonionej zaognionej rany bluznęła krew strumieniem. Wstrząsł się ranny, spojrzał i chwycił się rękami za piersi. Drżał w febrze i wołał: boli, boli!

Zapłakał nad panem Michał, wymył ranę, udarł suchy kawał płótna, złożył i przyłożył na nią, długim kawałkiem płótna owinął i był gotowy bandaż.

— Już, już się prawie skończyło — mówił z rozpromienioną od zadowolenia twarzą.

— To ty Michale? — pyta słabym głosem uspokojony Stanisław.

— Jużci ja, a któżby był inny!

— A gdzież są wszyscy?

— Gdzie? a Bóg ich tam wiedzieć raczy. Dużo ich poginęło na miejscu, trupy leżą wszędzie, naszych, nie naszych, nachodziłem się dobrze, zanim odszukałem pana. Reszta, reszta się przedarła i poszła do lasu, pogonili za nimi, ale ich nie dogonią pewnie. Noc była ciemna, że choć oko wykol na dziesięć kroków nie zobaczysz przed siebie.

Stanisław rozmyślał; patrzył na Michała.

— I ty ranny? — po chwili zapytał.

— Ej, niebardzo, jeger kolnął mnie bagnetem nad okiem, żeby o cal niżej, byłby mi oko wyłupał, dałem ja mu dobrze, pewnie więcej kłuć nie będzie, jakem go kosą o szyję zawadził, tak już ani ziewnął więcej.

— Prócz ciebie nie ma tu żadnego więcej z naszych?

— A zkąd by się wziął jaki! tak nas przyparli, że trudno się nam było ostać, ich była chmara, a nas mało i to pomęczone i zbiedzone bardzo.

— Zkądże ty się tu wziąłeś, jak tyś mnie odszukał?

— Ja się przedarłem z naszymi, uszliśmy kawał, oglądnąłem się za panem a pana nie było, jużcić wróciłem się nazad; kiedy przechodziła koło mnie pogoń, co za nami ścigała, udałem się za zabitego; potknął się o mnie jeden, zaklął i kopnął mnie nogą. Szukałem pana długo, znalazłem dopiero o świcie.

— Poczciwy Michale, tyś pamiętał o mnie, tyś mnie nie porzucił.

Michał patrzył się na mówiącego z pod oka, wziął jego rękę i do ust ją przycisnął. Myślał sobie: jakbym to ja mógł porzucić mojego dobrego pana, co mnie już tyle lat trzyma u siebie, co mnie jeszcze nigdy złem słowem nie skrzywdził co się ze mną jak ojciec obchodził, zawsze o mnie pamiętał i wiele mi świadczył dobrego.

Przyjaciel myśląc o ocaleniu własnem rzucał przyjaciela, brat zapomniał o bracie, Michał nie zapomniał o dobrodzieju swoim, nie rzucił go, aby samego siebie ocalić. Wdzięczność to wielkie uczucie, jeźli ono w czystem sercu zamieszka, wiedzie do natchnionych czynów.

Nagły gwar i ludzkie głosy odzywające się w dali zajęły uwagę Michała. Podniósł się, powstał z ziemi i wspiął się na palcach, rozglądał się z nad krzaków dokoła. Szybkim ruchem zniżył głowę, przykląkł powrotnie na ziemi i przyłożył do ust palec, jakby sam sobie nakazywał milczenie. Był zastraszony i blady.

— Panie, ludzie idą, idą sołdaci, będą obdzierać i grzebać zabitych — mówił do rannego przyciszonym głosem.

Stanisław nie słyszał mowy jego, oczy miał zamknięte, twarz jego okrywała trupia bladość, ciało było bez ruchu, tylko lekko od tchnienia kołyszące się piersi, świadczyły, że jeszcze nie uleciała z niego ostatnia iskra życia; po wysileniu chwilowej przytomności, po upływie krwi powstałym z otworzenia rany, złamany wielkim bolem, wpadł powrotnie w omdlenie.

— Co ja poczne, co ja poczne — mówi bezustanku Michał i stara się omdlałego sprowadzić do życia trzeźwieniem.

W niewielkiej odległości odbywa się tymczasem scena szczególniejszego rodzaju:

Kilkudziesięciu sołdatów przypędziło na rozległe pobojowisko gromadkę chłopów opatrzonych w motyki i rydle. Żegnali się zastraszeni chłopkowie na widok strumieni krwi ludzkiej mieszającej się z błotem, na widok ciał podartych i pokłutych. Junker co prowadził komendę, wskazał im miejsce i rozkazał dół kopać na ciała; podczas gdy chłopkowie zabierali się do nakazanej roboty, rozbiegli się sołdaci i ściągali z wszystkich stron trupy, wlekli je po rozmoczonej od deszczu ziemi, walały się w błocie pokrwawione głowy, ziemia się pchała w rozwarte usta i oczy, i napełniała je, tłukły się głowy o kamienie i o korzenie drzew, skostniałe ręce odrzucały się od ciał i rozpiętemi palcami wtłaczały w ziemię, jakby się chciały jej chwytać, jakby stawiały opór ciągnącym ich do wspólnego dołu.

Usiłowania Michała wróciły Stanisławowi po raz drugi przytomność.

Kiedy otwierał oczy, chwytał się rękami za zranione piersi, wołał: boli, boli — i jęczał.

Michał płakał, przyłożył panu ręką usta, schylił mu się do ucha i prosił:

— Cicho panie, bo usłyszą jęki, tutaj przyjdą i przepadniemy oba...

— Gdzie jestem? — pytał.

— Cicho dla Boga, nic pan nie mów bo nas usłyszą — mówił zapierając oddech w piersiach i szepcząc tak cicho, że ledwie Stanisław dosłyszał słów jego.

Stanisław zastanawiał się przez chwilę i rozmyślał; bezładne i rozstrzelone obrazy zalegające mu rozpaloną głowę poczęły się układać powoli, przyszedł do przeświadczenia o położeniu swojem, patrzał w bladą i zastraszoną twarz Michała i przeczuł instynktowo o co chodzi.

— Czy sołdaci? — pytał najciszej.

— Sołdaci i to bardzo blizko, jakie pięćset kroków od nas.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zagadkowe drzwi

Oryginalne tłomaczenie z angielskiego dla „Pracy" przez P. Otrys.

(Przedruk wzbroniony.)

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI.

Briges przekręcił klucz, nacisnął klamkę i wszedł do pokoju Steinwortha.

— No i cóż? — zapytał krótko.

— Jesteś pan doprawdy bardzo miłym i uprzejmym człowiekiem — uśmiechnął się Goring. — Zagadka jest rozwiązana! Zdaje mi się, że trochę zadługo kazałem panu czekać, wiem jednak, że masz dobre serce i że mi wybaczysz. Słuchaj pan więc. Wyjawię ci teraz najskrytsze moje myśli — ale obejrzyj sobie najpierw ten przedmiot...

Mówiąc to, pokazał Brigesowi małą, cienką paczkę.

— Obejrzyj pan — powtórzył.

Briges wziął paczkę i krzyknął zdumiony:

— Ach! Wszakże to... doprawdy... banknoty!

— Tak jest, banknoty — potwierdził Goring. — Nie przeliczyłem ich, myślę jednak, że nie brak ani jednego.

— Jesteś pan nadzwyczaj sprytnym i zręcznym — uznał inspektor.

— O, nie tak bardzo znowu, jak pan myślisz! Ale przedewszystkiem wyjaśnię panu moje odkrycie, dodając zarazem, że dziś w nocy nie zbadałem ani połowy tajemnicy. I teraz jeszcze nie wszystko jest mi jasnem, początek jednak zrobiony. Zadanie moje wypełniłem i cieszę się serdecznie, że mi się to powiodło.

— Myślę, że pan wszystko już wykryłeś oprócz dziwnego kłamstwa Vickerego. Zamknąłeś się w tym pokoju i zostawiłeś na zewnątrz klucz w zamku — jest to dzieło, któregoby sam prezydent nie wykonał!

— Bardzo to prosta sztuczka, nic więcej!

— Podobna pewnie do jajka Kolumba, nieprawda? — żartował Briges.

— No, czy Kolumb musiał jajko natłuc, aby je postawić, nie wiem! Byłby sobie mógł to łatwiej urządzić, potrząsając jajkiem i stawiając je potem. Ale dziś ludzie są mędrszymi, niż Kolumb.

— Zapalmy teraz świecę — rzekł inspektor. — Chociaż tu nie jest tak ciemno, jak na dole, to przecież nic widzieć nie można. Gdy będzie jasno, pokażesz mi pan dokładniej swój eksperyment. Jestem ogromnie ciekawy, w jaki sposób pan zamknąłeś te zagadkowe drzwi!

Po tych słowach zapalił Briges zapałkę.

— Nie, nie! — zawołał Goring żywo — nie zapalaj pan! Musimy tu siedzieć w ciemności! Powiedz mi pan, czy przeszukanie i zbadanie tego domu w dniu 11 października było zupełnie dokładnem?

— Tak dokładnem, jak tylko być może!

— Więc gdyby naprzykład w pokoju zmarłej była leżała chustka, nie należąca tamdotąd, powiedzmy chustka do nosa doktora Evansa, byłbyś ją pan spostrzegł?

— Jak możesz pan pytać o coś podobnego?

— Jeżeli więc w tym pokoju znajduję chustkę doktora Evansa, to mogę z pewnością twierdzić, że dostała się ona tam po 11 października, nieprawda?

— Naturalnie!

— Panna Rodney opuściła dom przed przeszukaniem go?

— Tak!

— A więc, znalazłem w pokoju pani Davorn chustkę do nosa z haftowanemi literami M. E.

— Kiedy?

— Dziś rano. Może to sidła zastawione na nas, ale muszę przyznać, że mnie to niezmiernie dziwi. Ho, ho, otóż bije właśnie dwunasta, godzina duchów!

— Hm, dziwna sprawa z tą chustką młodego doktora — rzekł inspektor zamyślony.

— Mam nadzieję, że się to później samo wyjaśni. Ale teraz muszę panu coś jeszcze powiedzieć. Powziąłem pewne przekonanie co do osoby, która była tu dziś w nocy. Był tu ktoś, znający doskonale cały rozkład domu, ktoś uważający ten dom za zupełnie pusty, i ktoś, mający ważny powód do tych nocnych odwiedzin. Jaki to był powód, nie wiem napewno, ale domyślam się. Przyszedł bezwątpienia po pieniądze! Złodziej omylił się jednak, nie liczył na zamknięte drzwi, a w nich klucza nie było. Wyłamywać drzwi nie chciał!

— Czemu nie?

— To panu później powiem. Wyłamać więc drzwi nie chciał, ale za to odcisnął wzór zamku, aby kazać dorobić drugi klucz. Potem udał się złodziej do pokoju pani Davorn w niewiadomym mi jeszcze celu. Gdyby był wiedział, że banknotów tam nie ma, nie byłby potrzebował wszystkiego poprzerzucać i porozdzierać, może myślał, że znajdzie tam jeszcze więcej pieniędzy... Albo też chciał zwrócić podejrzenie na kogoś innego...

— Ah, i pan myślisz, że ten ktoś przyjdzie tu znowu, z kluczem, aby otworzyć drzwi?

— Tak, jestem o tem mocno przekonany! Aby panu złodziejowi pracę ułatwić i nie wzbudzić w nim podejrzenia, że inne jeszcze osoby znajdują się tu w domu, zostawiłem okno w kuchni otwarte, wszystko więc jest tak, jak było dziś rano. Musi on być pewnym, że dom jest pusty. Gdy dziś o dziewiątej zapalałem ogień w kuchni, uważałem starannie, aby nikt w świecie tego nie spostrzegł. Ale teraz skończmy naszą rozmowę. Wyjdź pan na schody i słuchaj, czy w kuchni cicho...

— A jeżeli czuwanie nasze na nic się nie przyda? Jeżeli złodziej się nie wróci?

— Nic nie szkodzi, pocieszymy się tem, że mamy pieniądze. Złodziej wróci jednak napewno, jeżeli nie dziś, to jutro w nocy. Wtedy pokażę panu, w jaki sposób można drzwi na wewnątrz zamknąć i pomimo to być w pokoju.

— Ach, zimno i ciemność zabiją mnie — narzekał Briges głośno.

— Nie krzycz pan tak — upominał Goring — możnaby doprawdy przypuszczać, że jesteś tchórzem. Jeżeli się boisz, to powinieneś siedzieć cicho w domu przy ciepłym piecu, nie zaś szukać złodziei.

Obydwaj urzędnicy wyszli teraz na schody.

— Zamknij pan obydwa pokoje i weź klucze do siebie. Pójdziemy na poddasze, ztamtąd najlepiej można wszystko obserwować. Albo czekaj pan — mam wyborną myśl — zamknę pana w pokoju Steinwortha! Skryj się za szafę lub pod łóżko i przyjrzyj się dokładnie nocnemu gościowi. On się wyłącznie drzwiami zajmować będzie, możesz mi wierzyć. Jeżeli to człowiek, którego mam na myśli, to pokaże on ci bardzo dokładnie sposób zamykania i otwierania tych drzwi tajemniczych, dokładniej, niż ja! Zabijemy więc dwie muchy od razu! Zamknę pana i wezmę klucz do kieszeni.

— Dobrze, ale pożycz mi pan swego rewolwera, widziałem go poprzednio u ciebie — rzekł Briges.

— Chętnie. Sądzę, że nie będziesz go potrzebować, ale dla bezpieczeństwa możesz go wziąść. Masz pan kajdany przy sobie?

— Tak!

— Doskonale! No, rewolwer, kajdany, latarnia — czegoż więcej pan chcesz? Co mówisz pan na moją propozyą zamknięcia cię w pokoju Steinwortha?

— Podziwiam pana! Byleby oczekiwany gość przyszedł! Jeżeli nie, to niech czarci porwą całą tę sprawę.

— Pst, pst, — szepnął Goring nagle, chwytając ramię inspektora. — Ani słowa dalej! Zdaje mi się, że słyszę jakiś cichy szelest na dole...

Obydwaj wstrzymali oddech i słuchali z natężoną uwagą.

— Idzie! — szepnął detektyw. — Prędko, prędko, nie trać pan ani chwili! I nie ruszaj się! Milcz jak grób!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI.

Inspektor Briges stał się nagle tak zwinnym jak kot, rzucający się na upatrzoną zdobycz. Teraz czuł się w swoim żywiole. Chodziło tu o tajemnicę, którą koniecznie chciał odkryć; czekała go może ciężka praca i niebezpieczeństwo, bo złodziej mógł być odważnym i uzbrojonym, ale o tem nie myślał już wcale.

Latarnia z ulicy oświetlała pokój dosyć jasno, a oczy Brigesa przyzwyczajone były do ciemności, tak, że w półcieniu mógł łatwo każdy przedmiot rozpoznać.

Najpierw zamierzał ukryć się pod łóżkiem, ale namyślił się inaczej. Tutaj był całkiem na łasce złoczyńcy, który mógł go zastrzelić zanim by zdążył wyjść z kryjówki. Zostawały jeszcze szafy, z których jedna, bardzo obszerna, mogła mu służyć bardzo wygodnie na miejsce pobytu. Stała ona pomiędzy łóżkiem i drzwiami i to tak, że jednym skokiem można było dosięgnąć ziemi, a nadto była najlepszym punktem obserwacyjnym.

Nie namyślając się długo, wszedł Briges do szafy. Jeżeli Goring miał słuszność i oczekiwany gość był tym, którego szukał, w takim razie sprawa musi się teraz wyjaśnić. Oprócz tego pozna nareszcie tajemnicę drzwi, które wszystkim tyle sprawiły kłopotu!

Cierpliwość inspektora nie na długą wystawioną była próbę. Po kilku minutach dał się słyszeć cichy szelest na schodach, widocznie zbliżał się ktoś do drzwi.

Teraz — skrzypnięcie zamka. —

Za parę sekund ujrzy Briges łotra, nieomal mordercę — ale nie, morderstwo nie zostało przecież popełnionem! Albo może nadchodzący był zupełnie innym złoczyńcą, nie mającym żadnej styczności z całą tą sprawą!

Nagle otworzono drzwi i mężczyzna jakiś wszedł do pokoju.

Briges zdołał dojrzeć tylko część twarzy jego, gdy drzwi zamykał, przyczem rozległ się odgłos zapadającej klamki. Potem nowoprzybyły stanął plecami do szafy i zdawał się namyślać przez chwilę.

Był to mężczyzna wysoki, wysmukły — długa broda spadała mu na pierś — ale nie był to ani Steinworth, ani Vickery, ani doktor Evans!

Chyba że jeden z tych trzech przebrał się i przyprawił fałszywą brodę. —

Nieznajomy wsunął rękę do kieszeni i wyjął z niej jakiś przedmiot.

— Zapewne kawał żelaza, — pomyślał Briges. — Poczekaj, przyjacielu! Sądzisz, że jesteś tu sam! Nie spieszysz się jakoś zanadto! Bylebym mógł widzieć twoją twarz!

Ale nie zobaczył jej. Mężczyzna zwrócił się na lewo, zbliżył się całkiem do drzwi, podniósł ręce i zaczął wyjętym z kieszeni instrumentem pracować przy zawiasach. Gdy skończył u góry, uklęknął i powtórzył tę samą czynność na dole.

Co to miało znaczyć? Czemu on wykręcał zawiasy przy drzwiach.

Briges straszne znosił męki. Jak długo będzie musiał siedzieć jeszcze w szafie i obserwować nieznajomego? Przeszkodzić nie mógł mu pod żadnym warunkiem! Robota z zawiasami mogła trwać bardzo długo, na zamek przy drzwiach wcale nie zwracał uwagi, bo i czemu miałby się tem zajmować? Wszakże drzwi nie były teraz zamknięte, albo może były? Może Goring stał za niemi i obrócił po cichu klucz, aby zamknąć złodzieja...

— Byłby to wyborny żart, — rzekł sobie Briges w duszy. — Ale co on teraz robi? Czemu nie obróci się tak, abym raz przecież mógł mu w twarz spojrzeć! No proszę! Odszrubował zawiasy, dalibóg! Jakim się to stało sposobem?

Biedny inspektor musiał zebrać całą siłę woli, aby się zachować spokojnie. Potrzebował tylko wyciągnąć rękę, aby pochwycić zdobycz, a pomimo to nie wolno mu się było ruszyć! Nawet oddychać nie śmiał ze strachu, aby nie spłoszyć nieznajomego, który tak pilnie pracował!

Teraz obrócił mężczyzna świder i wsunął go ostrożnie pomiędzy drzwi i ramę. Poruszając świdrem lekko i ostrożnie, pociągał całe drzwi coraz to więcej ku sobie, tak długo, dopóki ich zupełnie nie wyważył. Teraz stały ukośnie. Inspektor własnym nie dowierzał oczom. Nieznajomy wyciągnął rękę lewą, przytrzymując drzwi prawą i zdawał się wsuwać ją w jakiś otwór w drzwiach, którego Briges jednak dojrzeć nie mógł.

— Nagle — głuchy okrzyk przerażenia — mężczyzna cofnął się, załamał ręce, i tonem najwyższej rozpaczy jedno tylko wyjąkał słowo:

— Znikły!

Potem oparł się o poręcz łóżka i..

W tejże chwili wyskoczył Briges z szafy. Żelazną dłonią pochwycił drżącego za szyję, ale równocześnie musiał odrzucić rewolwer, bo nieznajomy zachwiał się i byłby upadł gdyby go inspektor nie był podtrzymał obydwoma rękami.

Schwytany na gorącym uczynku złoczyńca zemdlał.

Inspektor zaciągnął go do łóżka i usiłował go na niem ułożyć. Nie była to łatwa robota, bo nieznajomy był ciężki, ale w końcu udało mu się dokonać dzieła. Briges przekonał się, że zemdlenie było rzeczywistem, i że chwilowo nie było obawy, aby więzień uciekł.

Teraz dało się słyszeć pukanie do drzwi.

— Popchnij pan drzwi na dawniejsze ich miejsce, — zawołał Goring.

Inspektor obrócił drzwi z łatwością, i zaraz potem wszedł detektyw do pokoju.

— No, znasz pan tajemnicę drzwi? — zapytał wesoło.

— Tak. Ale nasz przyjaciel zemdlał — odrzekł inspektor, ocierając spocone czoło.

— Słyszałem jego jęk i poznałem głos... Jęknął on tak samo, gdy upadł zemdlony na sali sądowej!

— Kto? — zawołał Briges zdumiony. — A do licha! Doprawdy to on! Czy zmysły straciłem? Wszakże na zupełnie fałszywej byłem dotąd drodze!

Goring zbliżył się do łóżka.

— Rozepnij pan mu przedewszystkiem kołnierz, — rzekł, — bo inaczej udusi się. A potem zdejm fałszywą brodę i perukę.

Mówiąc to, podniósł świecę.

— Steinworth! — krzyknął inspektor, pochylając się nad zemdlonym.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY.

Obydwaj urzędnicy zajęli się teraz trzeźwieniem chorego, który też wkrótce otworzył oczy. Goring spuścił żaluzye, zapalił lampę, Briges zaś rozebrał Steinwortha z dwóch surdutów i przyniósł mu wody do picia.

Steinworth usiadł na łóżku i patrzał z początku jak nieprzytomny na swoje otoczenie, potem otworzył usta, chciał przemówić — ale milczał. Jasny jego wąs był starannie zgolony, a z pod na wpół odchylonych warg wystawały dwa duże, białe zęby. Twarz ta miała w tej chwili wyraz prawdziwie odrażający.

— No i cóż? — rzekł Briges.

— Widzę — syknął Steinworth — że wpadłem w sidła. Jesteście bardzo przebiegłymi ludźmi. Pana — dodał, zwracając się do Goringa — obawiałem się od samego początku, ten tam zaś inspektor — nie byłby nigdy odkrył prawdy.

— Nie zapominaj pan — zawołał Briges obrażony — że każde twoje słowo zostanie zapisanem i że będziesz za nie odpowiedzialnym!

— Wiem, wiem — rzekł Steinworth szyderczo — ale po co mam się jeszcze namyślać nad tem, co mówić? Pan Goring zna dokładnie cały przebieg sprawy, niech on panu wszystko wyjaśni! On wie lepiej, niż ja, jak i co się działo... Odgadł prędko tajemnicę mojej zagadki, która całą policyą tak bardzo zaniepokoiła!

Oczy schwytanego złoczyńcy dziką błyszczały nienawiścią. Szalał on ze złości na myśl, że go odkryto, o przyszłość nie chodziło mu wcale, tylko o nieszczęśliwą teraźniejszość. Przeklinał w duszy swoją nieostrożność i spryt Goringa i w bezsilnem uniesieniu zacisnął pięści.

— O, i pan jesteś przebiegłym, — odrzekł Goring uprzejmie, — szkoda tylko, że puściłeś się na bezdroża. Wybrałeś zresztą najgorszy czas na popełnienie kradzieży, to jest czas, w którym potrzebowałeś koniecznie pieniędzy. Spamiętaj sobie nadto, że — z umarłymi żartować nie można!

— Ach, śmierć pani Davorn! Jaki to fatalny przypadek...

I Steinworth zadrżał, jak we febrze.

— Niedobrze mi się robi, gdy o tem myślę, — dodał po chwili. — Wszystko byłoby mi się powiodło, gdyby nie to... Śmierć i szalone zeznanie tego głupiego Vickerego! Pan nie rozumiesz jeszcze jego zeznania, nieprawda? Jeżeli chcesz, opowiem wszystko szczerze, — zawołał śmiejąc się złośliwie. — Pan odkryłeś moją tajemnicę, znalazłeś pieniądze, więc czemu nie mam być otwartym? Może wyznanie prawdy przyda mi się na coś! Jestem niezręcznym, początkującym złodziejem — za pierwszym zaraz razem dałem się schwycić... Straciłem wszystko! Wszystko! Nie mam już nic do ukrywania. Życie moje zniszczone, dzięki mądrości pana...

(Dokończenie nastąpi.)

Znane dzieje.

Rozstawiono placówki... noc zapadła wcześnie,
U ognisk cały obóz odpoczywa we śnie;
A na czatach, przy krzyżu, wśród smukłych topoli —
Stoi żołnierz i duma o wojackiej doli.

Jutro słotny dzień zejdzie, bo pod chmur zasłoną
Utonął księżyc cały i gwiazdy nie płoną;
Jedna tylko, żołnierza towarzyszka blada —
Czasami się do niego z poza chmur wykrada.

Niekiedy wiatr zajęczy i bez echa skona; —
Liść suchy zaszeleści, broń szczęknie trącona;
Lub z szeptem tajemniczym przemkną jakieś cienie —
To ront czaty odwiedza, — i znów noc, milczenie...

Pod krzyżem na placówce żołnierz tęskno marzy;
Zapomniał, że mu czuwać kazano na straży;
Wpatrzył się w dal, gdzie z okien czyjejś chaty błyska —
Na tle nocy wesoły płomień u ogniska.

Smutno mu... bo on również gdzieś w dalekiej stronie
Ma chatę, w której także ciepły ogień płonie,
A w chacie żonę młodą, co tam u komina —
Płacze pewnie, kołysząc teraz do snu syna...

I narzeka, że wojna jest światu potrzebą;
A może w owej chwili, jak on, patrzy w niebo,
I tej samej się gwiazdki pyta biedne serce —
Co za los mu przeznaczył Pan Bóg na żołnierce!

* * *

Ej, ty gwiazdo zdradliwa, lepiej cię nie badać,
Jeżeli masz z złą wróżbą do nas z nieba spadać.
Jutro zagrzmi zwycięztwem ta cisza złowroga —
Któż ciebie, smutna wróżko, strąca?... Palec Boga!

* * *

Nazajutrz bój sie zaczął srogi i zacięty...
Wróg się cofnął!... wódz wrogów do niewoli wzięty!...
Dwa sztandary zdobyte!... z radości grzmią działa —
Tryumf!... wojna skończona!... zwycięztwo i chwała!...

* * *

Znowu ścichło; a tylko szeroka mogiła
U krzyża, na wczorajszej placówce przybyła;
Po żołnierzu, co w nocy pytał gwiazdkę złotą —
Została żona — wdową, a synek — sierotą...

Maryan Gawalewicz.

Mumia.

— Ukradli! ukradli!

Schwyciła się za głowę, i przycisnąwszy pulsujące skronie, przykucnęła na ziemi; zdawało jej się, że zamiast serca, ma w tej chwili w piersiach ciężki, olbrzymi kamień, że potwór jakiś owinął się koło jej szyi i wpijał pazury w ciało, że ślepie potwora zionęły płomieniem, którego ona znieść nie mogła, a głos syczący szarpał mózg szeptem: „Ukradli!“

A potem tysiące głosów powtarzały to samo, wirując po głowie piekielną, nieskończoną sarabandą. Skurczyła się, wpijając paznogcie w skórę, i bez łzy jednej, bez ruchu, z gorączką w spłowiałych wiekiem i łzami źrenicach, przebyła tak panna Stefania noc całą, w ubogiej swej za przepierzeniem izdebce. Wydarto jej bezlitośnie skarb jeden jedyny, owoc wieloletniej pracy, mozołu i upokorzeń.

O! bo ciężkie było jej życie, jako panny do towarzystwa. Siedemnastoletnia sierota przyjęła obowiązek i znosiła dolę tę, smutniejszą od losu pinczerka, uwiązanego na jedwabnej wstążeczce, przez lat czterdzieści. Zapomniała o tem, iż jest młodą i ładną, że życie każdemu daje jakąś okruszynę lepszą, że miłość to poezya i sen cudny...

Jej śnić nie było wolno...

Zawiędło też serce białej murzynki, tak jak więdła różowa, delikatna cera; przygasał blask oczu, jak gasły porywy i marzenia; została w miejsce pełnej życia kobiety, suchą mumią.

Nie miała nikogo na świecie, ktoby rękę serdecznie, bezinteresownie wyciągnął, ktoby do serca przytulił i łzę pieszczotą otarł.

Ale „mumia“ przestała dbać o to wszystko, zasklepiła się sama w sobie i wypiastowała w duszy myśl jedną, pragnienie, ideał, do którego dążyła z uporem maniaka. Inne kobiety miały mężów, dzieci, dostatki. A ona co? Poniewierkę i wieczną tułaczkę! Własny kącik! choć na rok, dwa, przed śmiercią, wygodny, własny kącik, w miejsce cudzych salonów. To jej cel... cel jedyny bezdomnej, poniewieranej fantazyą chlebodawców istoty. To też dojść do niego musi, a wtedy zapomni o wszystkiem złem w życiu przebytem i może nawet roześmiać się będzie umiała na prawdę, szczerze. Bo dziś śmieje się złym, zjadliwym śmiechem.

Śmieje się szyderczo na widok młodych i zakochanych, śmieje się z rozdrażnieniem, patrząc na matki pieszczące pucołowate, różowe dzieci, śmieje się z politowaniem z łez wylewanych przy trumnie, śmieje się gorzko z zapaleńców, dążących do jakiejś idei, nauki, wiedzy!

Ona chce, pożąda, tylko jednego: własnego kąta.

Zbierała więc grosz do grosza, ale zebrała bardzo mało, a tymczasem włosy hebanowe przyprószyły się siwizną, starość zajrzała w oczy, a z nią niemoc, ból w kościach i częsta migrena.

Nie była już zdatną, jako dama do towarzystwa, wymówiono jej miejsce. Był to cios dla biednej mumii, nie miała jeszcze dostatecznej sumki, aby zaprowadzić własne gospodarstwo, a jednak dopiąć i tego musi. Przeniosła się więc do sąsiedniego miasteczka i rozpoczęła dziwny, a smutny zaiste żywot. Wynajęła na przedmieściu u biednego stolarza kąt za przepierzeniem, wstawiła łóżko, stolik i kufer.

Kufer ten był najdroższą jej rzeczą na ziemi, na spodzie bowiem w blaszanem pudełeczku owinięte papierem i związane szpagatem znajdowały się dwa tysiące marek, pieniądze mające spełnić marzenia życia. Ale to jeszcze za mało, trzeba przysporzyć trochę. Miała kilka domów znajomych i te odwiedzała, tam obiadując, tu wieczerzając i dzień za dniem spychała w odmęt czasu. Nadrabiała pończochy, cerowała bieliznę, przędła serwetki szydełkowe i kwiaty z różnokolorowej imitowała bibułki, a grosz za to wzięty obracała na komorne, resztę nędznego zarobku dokładając do skarbu na spodzie kufra.

I żyła tak lat parę.

Drobna jej postać kurczyła się z dniem każdym, dawniejsze sukienki przybierały odmienną ze starości barwę, lub darły w strzępy, a ona w zimowy mroźny dzień, otulona szalem w szerokie pasy, darowanym ongi przez sparaliżowaną hrabinę, dreptała do kościoła, potem do znajomych pożywić się i po robotę. Wszyscy w miasteczku znali dziwaczną pannę Stefanię, zwaną „mumią“ i jej szal odwieczny.

Czasami dostała starą suknię, podniszczony kapelusz lub kilka złotych i trochę pożywienia.

Bywały jednak dni, że zbywano ją niechętnie, wtedy kupowała po drodze bułkę, za trzy grosze kawy i powracała do domu za przepierzenie. Przy ogniu stolarki gotowała napój, którego smak określić trudno, a przegryzając kawałkiem cukru, rozgrzewała się „kawką“ i zjadała bułeczkę, potem korzystając z nieobecności swej gospodyni, która niosła obiad mężowi do warsztatu, w którym pracował, przysłaniała okienko w przepierzeniu fartuchem i pewna, że nikt nie podpatruje klękała przy kufrze.

Twarz jej z żółtej robiła się ponsowa, wypełzłe czarne oczy świeciły gorączkowo, a ręce drżały jak w febrze. Wyjmowała z kufra najpierw podarte suknie, potem bieliznę połataną, a potem blaszane pudełko.

W kuferku tym pamiątki żadnej nie było, żadnego listu, żadnego zwiędniętego kwiatka, lub fotografii.

Drżała całem ciałem, głowa przechylała się w tył, a z pod przymkniętych powiek spływały powoli łzy.

Uspokoiwszy się, otwierała ostrożnie pudełko, odwijała papier... i liczyła pieniądze. Liczyła raz i drugi, od czasu pobytu w mieście kilkanaście marek

przybyło. Zwijała potem skarb swój powoli, a ściskając go w wychudzonych rękach, płakała.

Czego? samaby może nie umiała odpowiedzieć.

Skurczona siedziała tak czasem parę godzin, dopiero ścierpnięte nogi i ból krzyża, lub głos powracającej gospodyni przywoływały ją do rzeczywistości.

Chowała pudełko z westchnieniem, przykrywała bielizną i sukniami, a potem kufer na klucz zamykała. Klucz ten duży nosiła na tasiemce na piersiach, razem ze szkaplerzem.

Zmęczona, zgorączkowana, rzucała się na łóżko i marzyła... widziała siebie sytą, w ciepłym, czystym pokoiku, drzemiącą o szarej godzinie w wygodnym fotelu... o! bo na ten zbytek w starości sobie pozwoli. Teraz nie czuła się jeszcze starą... nie czuła głodu i zimna...

Raz powróciła dość późno z nieszporów, stolarze byli w sąsiedniej wsi na odpuście, a jej bardzo jeść się chciało. Aby zapomnieć o głodzie, wysunęła z pod łóżka kufer.

Z dzikiem przerażeniem spostrzegła, że otwarty, szarpnęła wieko, na samym wierzchu leżało przewrócone blaszane pudełko, rzuciła się na nie z konwulsyjnym jękiem, pieniędzy nie było! Przerzuciła wszystko w kufrze, szukała pod kufrem, na łóżku, pod łóżkiem. Napróżno...

Szary świt zaglądał przez okienko, a panna Stefania w jednej pozie siedziała ciągle, sinemi usty powtarzając machinalnie: Ukradli!

* * *

Drzewa cmentarne szumiały nagiemi konary poważnie, cisza majestatyczna panowała w przybytku umarłych, której nie przerywało nic, tylko odgłos dzwonka na Anioł Pański i powolne kroki grabarza, mruczącego pacierze.

Kończył już ostatnie „wieczne odpoczywanie“ za duszyczki zmarłe, gdy naraz zatrzymał się pełen grozy i przerażenia. Przygasłe źrenice starca rozszerzyły się niepomiernie, a pokryta siecią zmarszczek żółta twarz drżała nerwowo, z piersi wydobył się okrzyk:

— Tu! tu!... na drodze przy cmentarzu! Przeklęta!

Na drzewie akacyi, wisiał trup kobiety. Małe nogi, obute w dziurawe prunelowe trzewiki, okropne swą sztywnością, wystawały z pod wypłowiałej, krótkiej sukni; z ramion spadał szal w duże, szerokie pasy, z pod rudego od starości, welwetowego kapelusza wysuwały się kosmyki siwych włosów. W zaciśniętych kurczowo palcach lewej ręki trzymała blaszane pudełko...

Padający ukośnie promień zimowego słońca, rzucił jaskrawym blaskiem na siną, straszną twarz i przymrużone na wieki oczy „mumii“, w których szkliły się łzy... *G. Bier.*

Z obrazków społecznych.

Był wieczór dżdżysty — wielka kra szła rzeką —
Księżyc zamgloną spozierał powieką
Na most żelazny, którym lud roboczy
Z fabryk za rzekę ku miastu się tłoczy...
Na środku mostu, pod cieniem filara
Stała niewiasta, wychudła, jak mara,
Z rozwianym włosem... Na twarzy jej bladej
Dawnej piękności widać było ślady,
A wielkie, czarne, połyskliwe oko
Rzucało iskry źrenicą szeroką. —
Tłum przez most płynął szybko, jak te fale,
Co się pod spodem piętrzyły zuchwale,
Wreszcie znikł gwarny, wśród zaułków miasta;
Na moście sama została niewiasta.
„Wracać do domu? — szeptała —. A po co?
„Czy nieszczęśliwej kto przyjdzie z pomocą?
„Cóż mej dziecinie dam jeść wygłodniałej?
„Oh! Bodaj tego pioruny strzaskały,
„Co mi tak zatruł całe biedne życie...
„Jak wąż, się skradał do mnie chyłkiem, skrycie,
„Na ustach ciągle miał słówka miodowe,
„Aż głupiej, nędznej otumanił głowę...
„A potem... Nie, nie! Nie wracać mi więcej!
„Niechaj na niego spadnie płacz dziecięcy,
„Niech targa serce — licząc swoje złoto —
„Że dziecię jego — podwójną sierotą!
„Więc dalej, dalej do strasznego dzieła!“ —
Przez zimną poręcz napół się przegięła,
Wzrok dziki w żywioł wlepiając spieniony...
Wtem wiatr zajęczał tak tkliwemi tony,
Że się jej zdało, jako jej dziecina
Choć o litości krztę się upomina,
Że czułą prośbę w jej ucho szczebiota:
„Oh! nie porzucaj mnie, matulu złota!“
Czuła, jak rączki maluchne, różowe
Szyję jej lekko objęły i głowę,
Ciągnąc ku sobie...
Zimnym potem zlana,
Krok w tył zrobiła, padła na kolana
I łzy jej wielkie po twarzy pociekły...
. . . .
Wiatr nagle zmienił ton na dziki, wściekły,
I śmiech piekielny zasyczał dokoła:
„Sam Bóg cię z piekła już wyrwać nie zdoła,
„Myśl samobójstwa kogo raz opęta,
„Ten jest przeklęty — więc i tyś przeklęta!
„Spojrzyj tam! — Jakiś powóz przez most jedzie,
„Pochodnią świeci pachołek na przedzie...
„Wspaniałe konie i powóz wspaniały...
„Do wnętrza spojrzyj — tam przez szyb kryształy
„Widać ich dwoje... On jej objął szyję,
„Z ust jej i oczu bozką rozkosz pije...
„Ona przymyka oczy rozmarzona...
„To uwodziciel twój... to jego żona!“
I dalej wicher popędził szyderca...
Nieszczęsnej bicie ustawało serca..
Otwarła usta i wzrok obłąkany
Wlepiła w przestrzeń. — Jakiś punkt świetlany
Zbliżał się.. Turkot oddalony, głuchy,
Niosły tu wiatru dzikiego podmuchy
Coraz silniejsze...
„Ah! piekielne dziwy
„Wiatr przepowiedział... To on -- Niegodziwy
„Swem szczęściem mojej urąga rozpaczy...
„To nad me siły... niech mi Bóg przebaczy!“...
. . . .
Nie spostrzegł wcale w powozie pan młody,
Że coś czarnego upadło do wody —
Spadającego ciała plusk niemiły
Wicher i koła pojazdu zgłuszyły...
A trupa woda poniosła daleko,
Bo czas był dżdżysty — wielka kra szła rzeką...

Bolesław Czerwieński.

Spowiedź mordercy.

(Z francuzkiego.)

Ksiądz Medard, wikaryusz jednej z najbiedniejszych parafii przedmieścia Paryża, trzy razy tygodniowo regularnie przychodził do kościoła w porze przeznaczonej wyłącznie dla słuchania spowiedzi, i zwykle na próżno. Parafianie nie odznaczali się bynajmniej pobożnością. Jakież było zdziwienie wikaryusza, gdy pewnego wieczoru zastał przy konfesyonale penitenta, i to mężczyznę. Był to, sądząc z ubrania, robotnik.

Ksiądz Medard zasiadł w konfesyonale i nachylił się do okienka.

— Księże proboszczu! — odezwał się gruby, tłumiony głos.

Nie jestem proboszczem, mój bracie! Mów do mnie ojcze!

— Księże... przepraszam, mój ojcze, nie wiem jak mówić... ale nie spowiadałem się już od dwudziestu pięciu lat... od tego czasu, gdy porzuciłem wieś, w której się rodziłem. A w Paryżu to rzecz zwyczajna... robiłem jak inni, ufając w miłosierdzie Bozkie. Ale teraz tak mi ciężko na duszy, że nie mogę dłużej ukrywać mego grzechu. Wysłuchaj mnie ojcze i pomóż... Zabiłem człowieka!...

Wikaryusz drgnął. Więc ten człowiek, to zabójca... Machinalnie jednak wymówił:

— Wyspowiadaj się, synu mój... Miłosierdzie Boga jest bez granic.

— Wysłuchaj więc ojcze, całej historyi mego życia — mówił osobnik głosem, w którym brzmiał ból głęboki — jestem mularzem. Przeszło dwadzieścia lat temu przybyłem do Paryża z przyjacielem od lat dziecinnych. Razem kiedyś wybieraliśmy gniazda ptasie, razem chodziliśmy do szkoły. Byliśmy, jak bracia. On nazywał się Filip, ja zaś Jakób. On był ładny i zgrabny chłopak, ja byłem zawsze niezgrabnym i nieśmiałym. Filip uważany był przez wszystkich za dzielnego robotnika i dobrego towarzysza. Ja ubóstwiałem go i byłem z niego dumny. Pracowaliśmy u jednego majstra, lecz wieczorami Filip zawsze wychodził na zabawę z towarzyszami, ja zostawałem w domu. To było naturalne. On był wolny, nie miał żadnych obowiązków, ja utrzymywałem matkę. Znalazłem małe mieszkanko u wdowy sprzedającej owoce i stołowałem się u niej. Filip jadał gdzieindziej, gdyż, co praw-

da, obiady moje były wstrętne. Ale widziałem, że tym sposobem przychodzę z pomocą biednej kobiecie, przytem zakochałem się w jej córce, Katarzynie. Mieszkałem u nich trzy lata, lecz nie odważyłem się wyznać Katarzynie mojej miłości. Uważałem się za marnego robotnika, wątpiłem, czy zdołam utrzymać rodzinę i pomagać matce.

Wreszcie zmieniły się okoliczności. Matka moja umarła, zebrałem trochę oszczędności i wtedy wyjawiłem Katarzynie moje uczucia... Nie odpowiedziała mi ani tak, ani nie... Nic dziwnego, wiedziałem dobrze, że niema się z czego cieszyć. Po naradzie z matką, która lubiła mnie za moją pracowitość i spokojny charakter, Katarzyna zgodziła się zostać moją żoną. Byłem szczęśliwy przez kilka tygodni... Widziałem, że Katarzyna jest dla mnie obojętna, cieszyłem się jednak nadzieją, że z czasem pokocha mnie. Chciałem podzielić się moją radością z przyjacielem, zapoznałem go więc z Katarzyną. Na własne nieszczęście. Łatwo domyśleć się, co się stało potem. Katarzyna zakochała się w ładnym i wesołym chłopcu. Ale była to dziewczyna uczciwa i dobra. Więc nie okłamywała mnie. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy wyznała mi wszystko. Było to w dzień jej imienin. Kupiłem dla niej złoty łańcuszek w ładnem pudełeczku... byliśmy sami w pokoiku. Katarzyna podawała mi obiad. Otworzyłem pudełko i pokazałem jej łańcuszek. Rozpłakała się rzewnie.

— Przebacz mi, Jakóbie — mówiła łkając — ale ja tego nie wezmę... Schowaj ten podarunek dla swej żony... ja nią być nie mogę... kocham innego, kocham Filipa.

Wiadomość ta była dla mnie uderzeniem pioruna. Ale co miałem robić, mój ojcze, kochałem ich oboje... Trzeba było im dopomódz... Filip nie umiał oszczędzać, nie miał grosza złożonego, oddałem mu więc wszystkie moje oszczędności na niezbędne przy ślubie wydatki.

Pobrali się. Z początku wszystko szło dobrze. Wkrótce przyszedł na świat syn, kórego trzymałem do chrztu. Otrzymał imię Kamil na pamiątkę mej matki.

Niedługo jednak trwało, a Filip zmienił się zupełnie. Nie był stworzony do życia rodzinnego, lubiał za bardzo zabawy i hulanki... Znasz, ojcze, takie historye... Robotnik zaczyna pić i opuszczać robotę, wpada w niedostatek, nie przynosi do domu zarobionego grosza, a do domu przychodzi tylko na kłótnie i bójki. I Filip zrobił się taki. Z początku chciałem wpłynąć na niego. Dopóki miał resztę wstydu, moje prośby i uwagi skutkowały, ale to nie trwało długo. Później irytowało go, gdy widział, że z serdecznem współczuciem patrzę na więdnącą Katarzynę i na opuszczone, bez potrzebnych sprzętów, mieszkanie ich... Raz zrobił mi straszną scenę zazdrości. Śmiał posądzić o niewiarę Katarzynę, która była czysta i niewinna, jak anioł. Wtedy o mało nie pogryźliśmy się, jak dzikie zwierzęta.

Wyrzekłem się widzenia Katarzyny i mego chrześniaka, a z Filipem widywałem się tylko przy robocie. Ale, mój ojcze, kochałem za bardzo Katarzynę i małego Kamila, aby o nich zapomnieć zupełnie. Co sobota, wieczorem, gdy Filip hulał z kolegami, błądziłem w pobliżu ich mieszkania i od chłopca dowiadywałem się o nędzy, w jaką coraz bardziej wpadali. Chłopiec nigdy nie wracał z próżnemi rękami. Zdaje się, iż Filip wiedział o tem... że wspieram jego rodzinę, ale uważał to za wygodne dla siebie. Tak przechodziły lata. Filip pił coraz więcej, lecz Katarzyna przy mojej pomocy wychowała syna, jak należy. Teraz jest to ładny, dwudziestoletni chłopak, dobry i poczciwy, jak matka. Skończył szkołę techniczną i obecnie pracuje u budowniczego. Pobiera dobre wynagrodzenie, kocha i szanuje matkę. Gdy w roku zeszłym zobaczyłem Katarzynę, chociaż mizerną i zmienioną, ale ubraną porządnie, idącą pod rękę z synem, serce mi zabiło z radości.

Ale wczoraj spotkałem na ulicy Kamila i ściskając go za rękę (chłopiec nie jest wcale dumny i nie wstydzi się mojej bluzy), zauważyłem, że jest strapiony.

— Co się stało? — zapytałem.

— Wyciągnąłem wczoraj — odpowiedział — los nr. 10. Dzięki jemu zostanę wysłany do kolonii, gdzie mogę zginąć od żółtej febry i zostawić matkę bez żadnych środków do życia, gdyż ojciec pije coraz więcej, matka tego nie przeżyje...

Ojcze mój, spędziłem okropną noc. Pomyśl tylko... Dwudziestoletnie starania i troski biednej kobiety idą na marne dlatego tylko, że syn jej wyciągnął z koła los fatalny...

Rano zaledwie zdołałem utrzymać się na nogach, poszedłem jednak do roboty. Trudno, biedak pracować musi... Wszedłem na rusztowanie i wyjąłem narzędzia. Wtem poczułem trącenie w ramię. Obejrzałem się, to był Filip. Przychodził do roboty rzadko i tylko dlatego, aby zarobić na wódkę, Dawno go już nie widziałem, dzisiaj zaledwie poznać go mogłem. Wychudł, osiwiał, ręce drżały mu, jak z zimna, była to ruina człowieka...

— No i cóż — zapytałem go — twój syn wyciągnął los do wojska?

— A tak, — odparł, patrząc na mnie złośliwie. — Czyż ja jestem temu winien? Zresztą, cóż on jest lepszego od innych? Gdybym ja umarł, zostałby przy matce, ale na złość im, jestem zdrów i Kamil nie prędko będzie synem wdowy...

Synem wdowy! Straszna myśl wylęgła się w mym mózgu i nie opuszczała mnie na chwilę... więc Kamil odjedzie... na długo... daleko... a Katarzyna zostanie na łasce tego pijaka, tego bydlęcia, który przestał być podobnym do człowieka...

Nadeszło południe. Wszyscy towarzysze zeszli na dół na obiad. Zostałem sam na sam z Filipem... Schodził zwolna po drabinie i zwróciwszy się do mnie, urągał:

— Widzisz, jak dobrze jeszcze trzymam się na nogach... Kamil nie będzie synem wdowy.

Krew uderzyła mi do głowy. Schwyciłem oburącz drabinę, której trzymał się konwulsyjnie Filip, wołając ratunku i zrzuciłem ją w dół...

Zabił się na miejscu... Wszyscy uważali to za nieszczęśliwy wypadek... Ale Kamil teraz, jako syn wdowy, nie opuści matki nigdy...

— Oto, ojcze mój, grzech, z którego wyspowiadać się chciałem. Żałuję za grzech ten z całego serca, przed Bogiem i przed tobą, ojcze! Ale nie chcę już nigdy widzieć Katarzyny... w żałobie... z synem pod rękę... mógłbym zbrodni swej wtedy nie żałować... Jadę do Ameryki, i nigdy już nie powrócę. Mój ojcze, weź ten łańcuszek, którego kiedyś nie przyjęła Katarzyna, sprzedaj, pieniądze rozdaj ubogim...

Stary wikaryusz spełnił prośbę zabójcy. Tylko, że pieniądze, przedstawiające wartość łańcuszka, z własnej kieszeni oddał biednym, łańcuszek zaś zawiesił w kaplicy Matki Boskiej. W kaplicy tej często później modlił się za biednego mularza...

Powrót Tatarów z wyprawy.

(Do illustracyi albumowej.)

Kresy wschodnie dawnej Polski były widownią ciągłych napadów ze strony dzikich szczepów tatarskich, które zwłaszcza na wiosnę, gdy śniegi stopniały, licznemi gromadami przekradały się przez granicę, strzeżoną przez polskie wojsko kresowe, i rozlewając się szeroko po Podolu i Ukrainie, paliły i ścinały, co im w drogę weszło. Owe czambuły tatarskie grasowały po ziemi polskiej najczęściej na własny rachunek, chciwe łupu i krwi chrześciańskiej; — lecz biada wówczas, gdy sułtan turecki, zwierzchnik wszystkich plemion mongolskich, zapowiedział wojnę świętą przeciwko wrogom wyznania mahometańskiego, gdy dzikie hordy krymskie, złączone z potęgą turecką, wypisały na swych sztandarach zagładę całej Europie chrześcijańskiej! Niezliczone zastępy wrogów Chrystusa nastawały wówczas na Polskę, to przedmurze wiary świętej, by po jej trupie przeszedłszy, zniszczyć wszystkie narody cywilizowane Europy Zachodniej Zakusy takie często się powtarzały, lecz zawsze rozbiły się one o pierś rycerstwa polskiego, które pod Cecorą, Chocimem, Wiedniem itp. krwią swoją broniło i obroniło wolność narodów osiadłych na zachód od Polski.

A jaki zysk dla Polski z tych walk gigantycznych? Historya na to odpowiada rozbiorem kraju, którego synowie piersią swą zasłaniali od zagłady tych właśnie, którzy potem odwdzięczając się na swój sposób, pozbawili ich bytu politycznego, wydzierając im nadto gwałtem najwyższy skarb narodu — język ojczysty....

Rycina nasza przedstawia Tatarów, przeprawiających się przez rzekę z powrotem z wyprawy do ziem polskich, a obciążonych łupem z zrabowanych kościołów i dworów szlacheckich.

S. Wcz.

Jubileusz kapłański.

Z Wilkowyji, w pow. jarocińskim. Dnia 30-go lipca święciliśmy tu 25 letni jubileusz naszego przewielebnego ks. dziekana Podlewskiego. Dla nas dzieci parafii, oddanej jego kapłańskiej opiece,

dzień jubileuszowy był wyjątkowo uroczystym. Pragnęliśmy gorąco wspólnie w dniu tym wznieść modły do Pana Zastępów, ażeby raczył obfitą łaskę zesłać na czcigodnego kapłana za wszystko, co uczynił i czyni dla dzieci swej parafii.

Już wcześnie z rana dzieci z nauczycielem swoim, p. Rydlewskim, uraczyli czcigodnego Jubilata śpiewem: „Kiedy ranne wstają zorze.“



Ks. dziekan Podlewski.

Po błogosławieństwie udzielonem dziatwie, przemówił pięknie pan Rybicki, a następnie pan Skarzyński i pan Barwicki z Jarocina. Po okrzykach wzniesionych ku czci jubilata, poprowadzono go uroczyście z probostwa do świątyni Pańskiej, gdzie podczas mszy śpiewali wspólnie wielkowyjscy i jarocińscy śpiewacy.

Wieczorem urządzono iluminacyą i strzelano na wiwat z moździerzy. Wszyscy, starzy i młodzi, w równej dla zacnego duszpasterza życzliwości i przywiązaniu, przejęci są tem pragnieniem gorącem, ażeby Pan Bóg zachować go raczył jak najdłuższe lata i złotego jubileuszu doczekać.

†

Nekrologia.

S. p. Zbigniew Edmund Brodowski,

konsul Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, umarł nagle w Eberswalde. Ś. p. Zbigniew, syn zacnego i powszechnie szanowanego radcy w Pleszewie, uczęszczał do gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, Ostrowie i Sremie, gdzie zdał egzamin dojrzałości. Poczem poświęcił się prawu na uniwersytecie we Wrocławiu. Po niejakimś czasie pojechał do Ameryki szukać szczęścia. Po różnych kolejach twardego żywota został, przechodząc różne urzędy, notaryuszem.

W życiu dziennikarskiem odegrał tam niepoślednią rolę. Należał bowiem do założycieli „Gazety chicagoskiej,“ którą przez pewien czas redagował, poczem objął główną redakcyą „Zgody“.

W roku 1897 mianowanym został przez prezydenta Mac Kinlaya konsulem amerykańskim w Wrocławiu, lecz obawa rządu pruskiego, a przedewszystkiem byłego ministra spraw wewnętrznych Köllera „przed tym „agitatorem“ polskim, który był gotów „cały Ślązk spolszczyć“, była tak wielką, że nie potwierdzono go na tem stanowisku.

Z powodu tego wynikł zatarg pomiędzy Prusami a rządem amerykańskim, którego koniec był taki, że Ameryka ustąpiła posyłając ś. p. Zbigniewa Brodowskiego najpierw do Fürth w Bawaryi, a później do Solingen. Tamtejszy ostry i dżdżysty klimat przyspieszył niewątpliwie zgon zasłużonego tego męża.

Jak każdego, tak i tego roku jechał odwiedzić swego 80-letniego ojca, szanownego radcę B. w Pleszewie. W przejeździe odwiedził swego przyjaciela jeszcze z czasów szkólnych K. w Eberswalde. W kilka minut po serdecznem przywitaniu się z przyjacielem i jego rodziną, dostał ś. p. Zbigniew krwiotoku i wkrótce ducha wyzionął, mając lat 48. R. i. p.

* * *

S. p. Józef Sawiński,

pozasłużbowy radzca sądu ziemiańskiego, zakończył w Łabiszynie dnia 20-go b. m. o godzinie 1-ej w nocy po długich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami żywot swój doczesny, przeżywszy lat 48.

Eksportacya z domu żałoby do kościoła parafialnego w Łabiszynie odbyła się w piątek dnia 23-go o 9-ej rano, poczem nastąpiło nabożeństwo żałobne i pogrzeb na cmentarz. R. i. p.

Wiadomości.

— *Baczność! Nowo przybyli abonenci otrzymają bezpłatnie prócz początku drukujących się powieści wszystkie te numery „Pracy,“ w których dotychczas zamieszczony był malowniczy opis Wielkopolski, jeżeli nam nadeślą na dowód kwit abonamentowy oraz znaczek 20-to fenygowy na portoryum.*

— Drobne inserata czyli ogłoszenia przyjmujemy tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości z góry.

Administracya „Pracy.“

— W sprawie funduszu dla polskiej młodzieży gimnazyalnej, dotkniętej procesem, odbieramy następujące pismo:

„Poproszeni przez redakcyę „Dziennika Berlińskiego“ — inicyatorkę **funduszu dla polskiej młodzieży gimnazyalnej dotkniętej procesem** — o przejęcie rzeczonego funduszu na swoje ręce i o rozdzielenie go w danej chwili pomiędzy młodzieńców, którzy wsparcia koniecznie potrzebować i na takowe zasługiwać będą, oświadczamy niniejszem, że życzeniu powyższemu chętnie zadosyć uczynimy.

W tym celu zniesiemy się przedewszystkiem z komitetami funduszowemi, zawiązanemi we Lwowie, Krakowie i Paryżu, poszczególne zaś pisma polskie prosimy uprzejmie o przyjmowanie składek na rzecz funduszu.

Interesentom zwracamy uwagę, ażeby stosownie umotywowane podania o wsparcie wysyłali pod adresem: Dr. Niegolewski — Poznań (Posen), Plac Wilhelmowski 3 (Wilhelmsplatz 3).

Pod tym samym adresem można także wysyłać składki na fundusz.

Dr. Felicyan Niegolewski. Bernard Chrzanowski. Dr. Bol. Krysiewicz."

Składki na cel powyższy bardzo chętnie przyjmować będziemy. Przyp. Redakcyi „Pracy."

— **Potrzebny** nam koniecznie do kwartalnika **Nr. 14 (wielkanocny)** „Pracy." — Szan. Czytelników prosimy uprzejmie o łaskawe nadesłanie nam takowego, za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

— **Okulista**, p. dr. Stasiński, przy placu Piotra nr. 4 w Poznaniu, powrócił i przyjmuje, jak dawniej, w godzinach ordynacyjnych.

— **Na ogłoszenie** pp. dr. Zakrzewskiego i Panieńskiego, właścicieli Zakładu leczniczego dla chorych przy ulicy Rycerskiej 15, zwracamy baczną uwagę Szanownej Publiczności.

— **Pan W. Cichowicz** w Przemencie poleca w odnośnem ogłoszeniu swój bogato zaopatrzony skład w najrozmaitsze zegarki. Cenniki illustrowane wysyłają się na żądanie bezpłatnie i franko.

— **Zwracamy** uwagę na ogłoszenie nowo założonego *polskiego* przedsiębiorstwa pod firmą *„Szczeciński hurtowny handel śledzi i nafty"*, właściciele *Ignacy Maciejewski i Sp., w Poznaniu na W. Garbarach nr. 30/31.* Brak takiego polskiego przedsiębiorstwa tu w Poznaniu już oddawna uczuwano, to też nie wątpimy, że klientela polska szczerze poprze to nowe przedsiębiorstwo rodaków naszych, którzy, mając po za sobą długoletnią praktykę, wszelkich dołożą starań, aby rzetelnością i dobrym towarem przy możliwie jak najniższych cenach, zaskarbić zaufanie publiczności naszej. Młodemu przedsiębiorstwu „Szczęść Boże!"

— **W szkole** kroju damskiego M. Kazubowskiego w Poznaniu, założonej w roku 1870-ym, rozpocznie się nowy kurs dnia 10-go września r. b. Szkoła istnieje od lat 30 i cieszy się zasłużoną renomą. Dotąd wykształciło się w niej przeszło 8000 pań na krawczynie. Na odnośne ogłoszenie zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelniczkom.

— **Zwracamy** uwagę wszystkich Czytelników naszych, *którzy posiadają destylacyą, lub wyszynk*, na nowe przedsiębiorstwo polskie, *fabrykę esencyi i olejków eterycznych p. J. Ziołkowskiego w Ostrowie* (Ostrowo in Posen).

Jest to fabryka, jakiej do dziś w rękach polskich nie było!

Każdy, kto do dziś kupuje wódki i likiery z destylacyi żydowskich lub niemieckich, niechaj się uda do fabryki p. Z., a takowa dostarczy esencyi po cenie taniej i każdy podług przepisu *z wszelką łatwością* sam sobie wódki i likiery robić może! — P. Z. wprowadza esencye, jakich w Niemczech niema; bo na każde 100 litrów wypada 1 kilo esencyi, a wykonanie tak łatwe, że każdy wódki i likiery zrobić może!

— **Na cztery tygodnie więzienia** skazany został redaktor gnieźnieńskiego „Lecha" p. Piotr Paliński za rzekomą obrazę policyantów w opisie procesyi Bożego Ciała.

— **Na sprzedaż** jest stary interes kolonialny na prowincyi, istniejący przeszło lat 26. Reflektantom zwraca się uwagę na odnośne ogłoszenie.

— **Na fundusz** imienia Janiny Omańkowskiej złożył w dalszym ciągu p. Stanisław Bełza z Krakowa 1 mrk. 80 fen.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 460 mrk. 72 fen. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu „Samopomoc" 403 mrk. 19 fen., pozostają zatem u nas 57 mrk. 53 fen.

— **Na odbudowanie** wieży na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu pp. K. B. z Pleszewa 75 fen., Antoni Kosmowski z Obornik 1 mrk., T. Wesołowski z Grabowa 1 mrk., Józewicz z Inowrocławia 5 mrk., jako składka z podziękowaniem za odzyskane zdrowie, Stanisław Radecki z Poczdamu 1 mrk. 50 fen.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 576 mrk. 24 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Na chleb** św. Antoniego złożył p. T. Wesołowski z Grabowa 3 mrk.

Razem zebraliśmy na cel ten 22 mrk., dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Na reparacyą** kościoła w Janówcu złożył p. Stanisław Radecki z Poczdamu 1 markę.

Razem zebraliśmy na ten cel 7 mrk., dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **„Przewodnika zdrowia"** (Czarnowski, Berlin, Karlstrasse 32) wyszedł nr. 8 (na sierpień) i zawiera: Kwestya moralności w nowoczesnem społeczeństwie. — Kongres przeciwgruźliczy. — O potrzebie żelaza w pożywieniu. — W czem go najwięcej? — Pławmy ciało w wodzie, w powietrzu i w świetle! — Co czynić, aby dzieci miały mocne i proste kości? — Przestrogi i rady. — Rozmaitości. — Piśmiennictwo.

— **Wielkie** wyścigi „Oddziału Kołowników" Sokoła poznańskiego na torze szeląsgowskim odbędą się w dniu 1-ym września, w niedzielę. Wyścigi te zapowiadają się świetnie, gdyż „Oddział", jak zawsze tak i w tym roku nie szczędził kosztów, aby przedstawić widzom widowisko pełne urozmaiceń i nowości. Wyścigi odbywać się będą dla amatorów międzynarodowców, członków oddziałów kolarskich, mistrzów jazdy itd. Pomiędzy innemi odbędą się także wyścigi piesze dla członków Sokoła i uczniów, które zastosowano do wszelkich zasad sportowych, a przytem połączone z możliwem urozmaiceniem, ciekawe będą przedstawiały widowisko.

Przygotowania do wyścigów są w pełnym biegu a nad sporządzeniem całego programu czuwają liczne wydziały i komisye. Przypływ gości, tak Sokołów kolarzy jak i obcych, zapowiada się tym razem bardzo wielki. Chcący brać udział we wyścigach mogą się zgłosić do „Oddziału." Próby na boisku już się teraz odbywają i świadczą o gorącym ruchu przedwyścigowym. Boisko samo poddane zostało gruntownej naprawie, która wykluczać będzie wszelkie niedogodności jazdy. Spodziewać się należy, iż publiczność, życzliwa wszystkiemu, co sokolskie, i w tym roku swej życzliwości dla Sokoła nie poskąpi, tem więcej, iż czysty dochód przeznaczony jest na budowę sali gimnastycznej.

— **Slub.** W Małej Wsi w pow. grójeckim odbyły się d. 19-go b. m. zaślubiny Jadwigi księżniczki Lubomirskiej, najmłodszej córki Jana Tadeusza ks. Lubomirskiego i Maryi z hr. Zamoyskich, z Franciszkiem hr. Kwileckim, synem ś. p. Stefana hr. Kwileckiego, b. posła do parlamentu niemieckiego i Barbary z Mańkowskich, właściciele dóbr Dobrojewo i Gaj-Stramice w pow. szamotulskim w W. Ks. Poznańskiem. Pan młody jest po kądzieli wnukiem jenerała Dąbrowskiego. Szczęść Boże młodej parze!

— **Proces prasowy.** „Dziennikowi Kujawskiemu" wytoczyła prokuratorya proces na mocy § 18 (II) prawa prasowego, obwiniając byłego redaktora odpowiedzialnego „Dz. Kuj." o to, że dawniej osłaniał rzeczywistego redaktota „Dzien. Kuj." W tej sprawie przesłuchiwał świeżo sędzia pp. redaktora Wierzbińskiego, b. odpowiedzialnego redaktora St. Jaworskiego i redaktora R. Wojtkowskiego.

— **Stanisław** ks. **Radziwiłł**, czwarty syn ks. Radziwiłła, ordynata kleckiego i nieświeskiego, jenerał-adjutanta i jenerała piechoty wojsk niemieckich, oraz małżonki jego Maryi margrabianki de Castellane, zaręczył się w Dreznie z hr. Chotkówną de Chotborn i Wognin, młodszą siostrą ks. Hohenberg, małżonki arcyksięcia austryackiego Franciszka Ferdynanda.

Od Redakcyi.

Panu Werezan 24. — O ile nasze sięgają informacye, wystarczy wykształcenie ze szkoły elementarnej, może wstąpić z ukończeniem 16-go roku. Najpewniej jednak poinformuje Pana dyrekcya poczty, do której też radzimy się udać.

Panu Mero w Sremie. — Nie! Trzeba nalepić znaczek dziesięciofenigowy.

Zarządowi „Sokoła" w Mogilnie. — Notatkę o zabawie latowej otrzymaliśmy już po wydrukowaniu numeru na niedzielę, 18-go b. m., zatem nie mogliśmy jej zamieścić. Na przyszłość prosimy o łaskawe spieszne nadesłanie notatek.

Towarzystwu polsko-katolickiemu „Nadzieja" pod opieką ks. Stanisława biskupa w Blumenthalu. — Notatkę o walnem zebraniu (18 sierpnia) otrzymaliśmy zapóźno już po wydrukowaniu odnośnego numeru. Na przyszłość prosimy o wcześniejsze nadesłanie notatki.

Panu Antoniemu Dybizbańskiemu w Buku. Udaj się Pan w tej sprawie do p. J. K. Jasielskiego w Poznaniu, Stary Rynek 88. II.

Panu M. S. w Strzelcach (Gr. Strehlitz O. S.) — Sprawa ta należy do działu anonsów — w pośrednictwo takie się nie wdajemy. Zamieść Pan anons, a zwrócimy na niego baczną uwagę.

Panu E. Niemczewskiemu we Wrześni. — Nr. 14 „Pracy" zupełnie wyczerpany. — Introligatornię mamy sami dla siebie.

Panu J. Zaleskiemu w Samborzu Galicya. — Numery „Czytelni Polskiej" z bieżącego kwartału są jeszcze wraz z początkiem powieści do nabycia.

Panu J. Hujda, Zdziar Wielki, Król. Polskie. — „Krwawe ofiary" już wyczerpane.

W szkole.

— Skąd się biorą deszcze? — mówi nauczyciel patrząc w okno.

— Ja wiem skąd — mówi malec.

— Więc powiedz, jeźli wiesz.

— Z kości babuni. Ona zawsze mówi, jak się na deszcz zbiera: O! czułam go od tygodnia w kościach.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ Wincenty Szmytkowski.

FABRYKA
papierosów i tureckich tytuni
„VULKAN“
I. F. J. Komendziński w Dreznie
zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie, które w wszystkich główniejszych odnośnych handlach są do nabycia. Podróżującym z zasady nie wysyła, oblicza natomiast przystępniejsze ceny i odstawia lepszy towar. 45

Bardzo korzystne miejsce dla rzemieślnika

Moją w **Damasławku** p. Elsenau (w pow. Wągrowieckim) położoną **posiadłość,** składającą się z **domu mieszkalnego, dużego warsztatu,** który nadaje się na kuźnią lub fabrykę maszyn, a który można także użyć do wszelkich innych celów, wraz z przyległemi $2^1/_3$ **morgi roli pszennej,** nadającej się także pod place budowlane, mam zamiar pod korzystnemi warunkami sprzedać, względnie na dłuższy czas wydzierżawić. Budynki przed 5—6 laty nowo zbudowane. Posiadłość leży nad szosą w oddaleniu 10 minut od stacyi kolejowej Elsenau.
M. Landeck w Wągrówcu. 558

W mieście powiatowem w prowincyi Poznańskiej, w którem znajduje się gimnazyum, jest pod korzystnemi warunkami stary, dobrze rentujący się 557
handel żelaza i nasion
wraz z posiadłością.
do sprzedania. Prócz tego jest do sprzedania **dom mieszkalny** w najlepszym stanie. **Obie posiadłości leżą w najlepszem położeniu miasta.** Dotychczasowy właściciel wystawia je na sprzedaż dla tego tylko, że zaangażował się w inne przedsiębiorstwa. Łaskawe oferty uprasza się nadsyłać pod **W. 138** do **Rud. Mosse w Poznaniu** (Posen).



Miejska szkoła Biscan'a dla elektrotechniki w Cieplicach. (Czechy Austrya).

Jest to specyalna szkoła, obecnie ma około 200 uczni rozmaitej narodowości, na pięciu kursach. — 2 kursy są przygotowawcze dla chłopców wprost ze szkoły z niższem i wyższem przygotowaniem, a inne 3 kursy są specyalne i to:

1) dla monterów elektromechanicznych, uczą tu teoryi, a uczniami są przeważnie ludzie, którzy już w zakładach elektrotechnicznych itp. lub w rozmaitych warsztatach pracowali, kurs trwa 6 miesięcy, zaczyna się 2 razy w roku 15/9 i 15/3. (opłata szkolna 12 Złr. miesięcznie)

2) kurs dla elektrotechników, alselwenci kursu dla monterów mogą tu być przyjęci, jako też uczniowie szkół technicznych, lub posiadający potrzebne przygotowanie, kurs trwa 10 miesięcy, początek 15/9 (opłata 12 złr. miesięcz.)

3) kurs dla urzędników ruchu kolei elektrycznych, przyjmowani tu są kandydaci z lepszem przygotowaniem naukowem, kurs trwa 11 miesięcy, początek 15/9 (opłata 12 Złr. miesięcznie.) Wykłady w szkole niemieckie.

Ukończeni uczniowie szkoły, mając teoretyczne wiadomości, mogą lepsze stanowisko kierownicze zajmować, a dyrekcya szkoły ułatwia dostawanie posad.

Budynek szkolny obszerny zaopatrzony w laboratorye, warsztaty i potrzebne przyrządy i maszyny.

Cieplice, to miasto kąpielowe, w okolicy wiele fabryk, położone na granicy Czech i Niemiec, stacya kolei w miejscu

Utrzymanie miesięczne około 25 Złr. wraz z mieszkaniem. 585

Niejeden czytelnik „Pracy“ jest rzemieślnikiem, lub zatrudnionym w jakiejś fabryce, czy też przy maszynach elektrycznych, a jeżeliby chciał się wykształcić w elektrotechnice, może w tu opisanej szkole, — a w tym razie niech zażąda od dyrekcyi szkoły programu i informacyi mu potrzebnych Adres:

Biscan's Lehranstalt
für Elektrotechnik Communal-Anstalt
in Teplitz-Schönau, Böhmen, Oesterreich.

Leon Majkowski,
Grodzisk, Stary rynek.
Introligatornia, Księgarnia,
skład materyałów piśmiennych i przyborów muzycznych. Czytelnia pism zagranicznych i książek powieściowych. Przyjmuje również prace drukarskie. 573

Młody człowiek

z dobrej rodziny, uczciwy. z lepszem wykształceniem szkólnem, inteligentny, posiadający ładny charakter pisma potrzebny jako uczeń do większego magazynu w Warszawie.

Uczeń otrzyma gruntowne wykształcenie kupieckie i naukę szkoły handlowej. Zgłoszenia własnoręcznie pisane w językach polskim i niemieckim przyjmuje 577
Hofman i Tesze, Warszawa, Chmielna 43.

Dom

położony w rynku wraz z zabudowaniami murowanemi, jako też z przyległym ogrodem i rolą, nadający się do wszelkiego interesu, jest pod korzystnemi warunkami do sprzedania. Zgłoszenia przyjmuje eksp. „Pracy“ pod lit. C. nr. 579.

Czel. młynarski

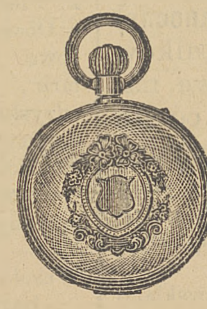
liczący 24 lat, z odpowiedniem świadectwem poszukuje miejsca od zaraz. Oferty, przyjmuje **Sz. Wąsala.** Opatow, Powiat Kępiński. 581

Pomocnika
golarskiego
przyjmie od zaraz na stałe zatrudnienie 574
Ignacy Biskupski,
egz. cyrulik, Grodzisk.

Trzech zdatnych
czeladzi krawieckich
na dobrą robotę i stałe zatrudnienie może się zgłosić do 524
W. Szrejbrowskiego,
mistrz krawiecki,
w Opolu, Górny Szląsk.

Gospodyni

z porządnego domu potrzebna od zaraz do samodzielnego zarządu na małym folwarku za małem wynagrodzeniem, która umie dobrze gotować, także i dobrze po niemiecku mówić. Zgł. przyj.
J. Schulz, 570
Bruchau, p. Kensau W./Pr.



W. Cichowicz
w Przemencie (Priment Kr. Bomst)
poleca swój bogato zaopatrzony skład w najrozmaitsze zegarki, zegary, budziki, łańcuszki, oraz srebrną i złotą biżuteryą. Srebrne zegarki męzkie na 6 kam. 10 do 20 mk., na 10 kam. remont. lub klucz. 12 do 30 mk., złote 45 do 350 mk., damskie złote od 18 do 200 mk., srebrne od 12 do 30 mk.
Specyalność zegarki narodowe.
Bogato illustrowane cenniki
darmo i franko. 536
Jedyny polski fachowy
zegarmistrzowski dom wysyłkowy i warsztat reparacyjny na całą okolicę *Przementu.*



Kamienica

przy rynku, w której od lat dawnych znajduje się dobrze rentujący się handel towarów kolonialnych i żelaza, połączony z wyszynkiem, mam zamiar **sprzedać** pod korzystnemi warunkami. Dzierżawca wyprowadzi się ewentl. od 1-go października. Położenie bardzo korzystne: targ przed drzwiami, fabryka cukru i mleczarnia w miejscu. Uwzględnia się tylko bezpośrednich reflektantów. 582
Emil Dahmer, Kowalewo (Schönsee W/Pr.)

Kupiec

kawaler, 28 lat, przystojny i dobrego usposobienia, posiadający dobrze zaprowadzony interes i mający dobrą egzystencyą, poszukuje na tej drodze, dla braku znajomości pań,
towarzyszki życia.
Panienki lub bezdzietne wdówki do 25 lat, skromnie wychowane, z odpowiednim majątkiem i wykształceniem, niechaj zechcą łaskawie swoje oferty z zaufaniem i fotografią nadesłać do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **B. 580.**
Scisła dyskrecya zapewniona i o takową się uprasza. Anonimów się nie uwzględnia. 580

Panienka miłej powierzchowności z odpowiedniem wykształceniem, posiadająca tymczasowo 15,000 mk. dla braku znajomości Panów, szuka na tej drodze
męża.
Panowie posiedziciele ziemscy, lub wyżsi urzędnicy posiadający pewne stanowisko, którzyby na te oferte reflektować chcieli, zechcą swe rękopisy wraz z fotografią pod lit. P. A. 583 do Eksp. „Pracy“ nadesłać. Dyskrecya rzecz honoru. Anonimów nie uwzględnia się. 583

Grymaśna Hela.

(Bajka, dedykowana dzisiejszej młodzieży.)

Helenka dość grymaśna, a piękna dziewczynka,
Dostała raz z marmuru posąg Kupidynka.
Gdy go jej wręczał ojciec dumny i szczęśliwy,
Rzekła: — Mój drogi papo, czemuż on nie żywy?
— Przyjdzie czas — rzecze ojciec, — czekaj moja [Helu,
O twoje serce będzie ubiegać się wielu.
—I cóż stąd? — rzekła Hela przyparta do muru—
Ci znowuż będą żywi... ale nie z marmuru.

W egzaminie medycznym.

Profesor: — Lecz gdy wszystkie środki na poty, któreś pan wymienił, nic nie pomogą, cóż pan wtedy zrobisz?

Student: — Wtedy przyślę mojego pacyenta do pana na egzamin.

Roztargniony.

Akuszerka (zwiastując panu domu narodzenie syna):

— Panie Dymalski! Chłopak przywędrował!

Kupiec Dymalski (zagłębiony w książkach):

— A czegóż on chce?

Z powodu przebudowania handlu przeniósłem interes mój na 5 tygodni

Stary Rynek Nr. 61

vis-à-vis

cukierni pana Pfitznera,

narożnik ulicy Wrocławskiej i Starego Rynku.

Centralna Drogerya

J. CZEPCZYŃSKI, Poznań, Stary Rynek Nr. 8. 447

Kap. zakł. M. 3000000 **Bank Ziemski** Kap. zakł. M. 3000000

w Poznaniu,

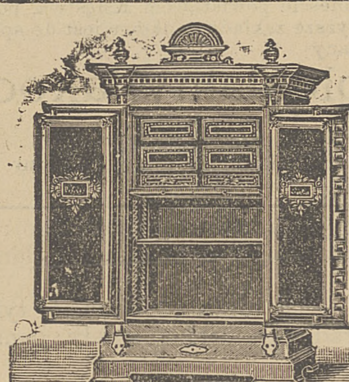
ulica Wiktoryi nr. 2

przyjmuje na procent wkładki i oszczędności od 100 mk. począwszy i płaci za 3 miesięcznem wypowiedzeniem 4%
„ 6-tygodniowem „ 3½%.

Przesyłki pocztą adresować należy tylko: 501

Bank Ziemski — Posen.

Telefon Nr. 1179. **Telefon Nr. 1179.**



Szafy żelazne

ogniotrwałe

i kasetki

do pieniędzy

poleca 34

w wielkim wyborze

T. Krzyżanowski.

Poznań, Szewska ul. nr. 17.

Powróciłem

Dr. Stasiński,

okulista. 568

Plac Piotra nr. 4.

Drukarnia — Introligatornia.

Tanie źródło!!

Z powodu inwentury zniżyłem ceny znacznie przy wszystkich artykułach. *Książki etc. polecane przez księgarnie poznańskie* dostarczam za tę samą cenę każdego czasu. Elementarze polskie od 10—40 fen.

poleca 565

J. W. Nowak, Pr. Starogard

przy koszarach,

księgarnia, skład mater. piśm. i przedmiotów dewocyjnych. Abonament nut i książek bibliotecznych. Najtańsze źródło kart poczt. z widokami.

Tanie książki!

Asena 40 f., Genowefa 40 f., Bolesław 50 f., Głos synogarlicy 1 m., Gawędziarz 50 f., Hirlanda 40 f., Historya o królewiczu 40 f., Historya o wiecznym żydzie 20 f., Jaskinia Beatusa 1 m., Koszyk kwiatów 50 f., Lampa czarodziejska 40 f., Listownik 50 f., Oracye 30 f., Przeraźliwe echo 60 f., Sąd ostateczny 40 f., Sybilla 40 f., Sowizdrzał 40 f., Śpiewnik polski 50 f., Toastnik 50 f. poleca 236

W. Fiałek w Chełmnie
(Culm W/Pr.)

Słuszna uwaga właściciela domu. Krzyczą na nas, że zdzieramy. No proszę! Czyż to wiele po 25 mk. za pokój? A ileż Europa płaci za swój pokój? co, hę?

Mam do sprzedania:

1. W Pałędziu dolnem pod Mogilnem gospodarstwo około 125 mórg z dobremi łąkami, kompletne budynki, żywy i martwy inwentarz. 576
2. W Józefowie pod Mogilnem posiadłość około 6 mórg z łąką, kompletne budynki.
3. W Hucie Pałędzkiej pod Józefowem gospodarstwo około 45 mórg z ogrodami i łąkami, żywy i martwy inwentarz, całe żniwo, budynki kompletne,
4. W Jastrzembowie pod Trzemesznem posiadłość około 40 mórg z łąkami, dom mieszkalny i stajnie.
5. W Jastrzembowie cegielnia około 10 mórg roli i około 120 000 cegły.
6. W Dembnie pod Mogilnem posiadłość około 20 mórg, kompletne budynki i bardzo dobry wiatrak; żywy i martwy inwentarz i całe żniwo.
7. W Kwieciszewie pod Mogilnem dom mieszkalny z tylnymi budynkami i ogrodem przy domu.
8. W Wilatowie pod Mogilnem dom mieszkalny z tylnymi budynkami i ogrodem przy domu.
9. W Wilatowie posiadłość około 27 mórg, kompletne budynki z żniwami.
10. W Drewnie pod Gąsawą gospodarstwo około 50 mórg, żywy i martwy inwentarz z budynkami.
11. W Kędzierzynie pod Gnieznem gościniec jedyny we wsi, kompletne budynki, żywy i martwy inwentarz, około 16 mórg, całe żniwo i do tego wiatrak.
12. Na rozparcelowanym folwarku w Szydłowie i Pałędziu dolnem kilka mniejszych i większych parceli bez budynków.
13. W Miąży pod Damasławkiem gospodarstwo około 80 mórg z łąkami, budynki kompletne, inwentarz żywy i martwy.

Reflektanci mogą sobie posiadłości te każdego czasu obejrzeć i o bliższych warunkach się u mnie dowiedzieć.

Warunki kupna stawiam jak zwykle jak najdogodniejsze.

Na wpłaty przyjmuje także dokumenta hipoteczne, książki kasowe lub weksle.

Reszty ceny kupna pozostawiam na dziesięć do piętnastu lat po 5 procent.

W Kwieciszewie, Wilatowie i Kędzierzynie są kościoły katolickie, w Józefowie, Kwieciszewie i Jastrzembowie ewangelickie.

W Pałędziu kościelnem tuż przy Pałędziu dolnem jest kościół katolicki.

W Pałędziu, Hucie Pałędzkie, Józefowie, Kwieciszewie, Wilatowie, Drewnie, Kędzierzynie, Jastrzembowie są szkoły.

Listy proszę adresować bez żadnych dodatków jak następuje: **Józef Stark — Mogilno.**

Konwie do mleka.

Wózki dla dzieci,

Żaluzye

i rolosy do okien.

Wanny

do kąpieli wzsiadowych, zwyczajnych i bujanych (Wellen-Regenbadschaukel).

Łóżka

dla dorosłych i dzieci. 181

Puszki

do jarzyn i owoców blaszane

na ¼ ½ 1 2 litry

M. 0,15 0,20 0,25 0,40 za szt. poleca

T. Otmianowski, Poznań (Posen).

Cenniki darmo i franko.

Meble ogrodowe.

Szafy żelazne i kasety.

Illustrowane pismo humorystyczne

„Śmigus“

wychodzi we **Lwowie** dwa razy miesięcznie, t. j. 1-go i 15-go. Prócz treści nader bogatej i wybornych **kolorowanych** illustracyi pierwszorzędnych artystów zawiera każdy numer Śmigusa **bezpłatny** dodatek z najnowszemi kompozycyami na fortepian i do śpiewu. Oryginalne i tłumaczone humoreski urozmaicają każdy numer.

„Śmigus“ jest najlepszem pismem humorystycznem polskiem.

Prenumerata wynosi: **kwartalnie 2 mk., półrocznie 4 mk., rocznie 8 mk.** W Ameryce **półrocznie 1 dolar, rocznie 2 dolary.** Prenumeratę najlepiej nadsyłać wprost do Administracyi **„Śmigusa,“ Lwów, ul. Akademicka 10.**

Prenumeratorowie, którzy zapłacą abonament **za cały rok z góry,** otrzymają **wspaniałą nagrodę** (sensacyjną powieść wartości 3 marek.)

Numera okazowe na żądanie wysyła się bezpłatnie.

Do pewnego domu bankowego wchodzi chłopek, stawia krzesło na środku i rozpiera się na niem. Na zapytanie zdziwionego bankiera, czegoby żądał, powiada:

— Golić!

— Jak to! — rzecze bankier — czy to tu golarnia?

— Albo co? — była odpowiedź chłopa; — przecież się pytałem na ulicy i powiedzieli mi, że tu nawet golą bez mydła.

Szczeciński hurtowny handel śledzi i nafty.

Niniejszem mamy zaszczyt donieść, iż pod tą firmą otworzyliśmy 571

w Poznaniu, na Wielkich Garbarach Nr. 30|31 hurtowny handel śledzi i nafty.

Mając po za sobą długoletnią praktykę, a nadto zakupując towar osobiście z pierwszej ręki, jesteśmy w stanie służenia zawsze tylko rzetelnym i dobrym towarem po możliwie najniższych cenach.

Polecając przedsiębiorstwo nasze łaskawym względom Szan. Publiczności, kreślimy się

z wysokim szacunkiem

Ig. Maciejewski i Sp.

10—15 tys. mrk.

małoletnich pieniędzy, ma do umieszczenia lecz tylko na I pewną hipotekę. **P. R. A. 1015** post. rest. **Mokre — Mocker W/Pr.** 550

Poszukuję od 1 października do mego składu kolonialnego i bławatnego 556

panny

znającej krawieczczyznę.

I. Ossowidzka,
Babimost (Bomst).

Ucznia

poszukuję do handlu kolonialnego, win, destylacyi etc. 530

J. Rzendkowski
Nakło.

Z powodu innego przedsiębiorstwa mam zamiar

domostwo

moje, położone w mieście powiatowem na bardzo ożywionej ulicy, nadające się do każdego interesu i w którym już jest zaprowadzony interes sprzedać lub wydzierżawić. Warunki dogodne. Łask. of. pod lit. **W. K.** poste restante **Grodzisk (Graetz).** 552

Dominium Montowo W./Pr. potrzebuje od 1-go Października r. b., żonatego

młynarza

do parowego młyna, dobrze poleconego, na wysokie zasługi i deputat. Zaświadczenia uprasza się w odpisie, których się nie zwraca. 551

Panienki

z wyższych stanów mające zamiar kształcenia się w Berlinie w jakichkolwiek zawodach, znajdą od 1 Paźdz. r. b. troskliwą opiekę z pensyą u Polki. Zgł. do Eksp. „Pracy“ pod lit. Ł. nr. 562. 562

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki etc.) w połączeniu 463 **z zakładem wodoleczniczym.**

Kuracye dyetetyczne.

Kuracye na schudnięcie i na utycie.

Kąpiele elektryczne świetlane (nowo urządzone). — Kąpiele wszelkiego rodzaju. Masaż, gimnastyka szwedzka, leczenie elektrycznością.

Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński.

Niesłychanie!!!

330 sztuk tylko za 3,50 mk.

Piękny zegarek pozłacany z 3 letnią gwarancyą z piękn. łańcuszkiem, 1/4 tuzina dobrych chustek, torebka skórzana do pieniędzy, garnitur guzików double do mankiet i koszul, piękna cygarówka, niklowy odkrajacz do cygar, piękny album, pierścionek z imit. kamieniem dla panów, 36 sztuk japońskich kwiatów, szpilka do krawaty z bryl. simil. bardzo uładzająca, 5 sztuk kart z widokami wiedeńskich bardzo interesujące, 5 sztuk wyrocznic egipskich wróżbiarzy, (bardzo interesujące) lustro toaletowe kieszonk., 20 sztuk przedmiotów do koresp. i 250 sztuk różnych innych drobiazgów dla gospodyń gratis. Wszystwe te przepyszne 330 sztuk z zegarkiem, który sam już k art jest te pieniądze, kosztuje razem 3,50 mk. przez zaliczkę pocztową, nabyć można tylko w krótkim czasie z domu towarowego 564

P. Lust, Kraków, Krakau nr. L 1/8.

Niepodobające się, pieniądze z powrotem.

W większem mieście powiatowem Księstwa, posiadającem garnizon i wyższe zakłady naukowe jest do sprzedania stary renomowany

handel kolonialny, łakoci, win i cygar

pod korzystnemi warunkami. Oferty pod lit. **W. S. nr. 549** do ekspedycyi „Pracy“. 549

Naczelnik: (do urzędnika młodszego):

— Słyszałem, że się pan upijasz regularnie co pierwszego.

Dyurnista: — Panie naczelniku, to tylko na to, żeby się uradować, widzę wtedy pensyę podwójnie i cieszę się.

Prima prósze torfowe, mąka torfowa, torf do palenia dostarcza z powodu korzystnego położenia jak najtaniej 380

Gosewisch & Rischbieth,
fabryka prósza torfowego,
Neustadt a. Rbge. (Hannover)

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für den Monat September die in Posen erscheinende Wochenschrift

„PRACA“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)

für 42 Pfg.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 42 Pfg. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post..............................

Prosimy odciąć.



Jego Świętobliwość Leon XIII, Wielki Papież.

W dwudziestoczwartą rocznicę szczęśliwego panowania, pełnego blasku i chwały.

Album „Pracy."

Drukiem „Pracy."